



CZARNA PERŁKA.

POWIEŚĆ

PRZEZ B. BOLESŁAWITĘ.

(CIAĞ DALSZY)



Śród tego boleściwego zadumania, w którym czuła się ujętą jak w więzieniu, nie znajdując wyjścia nigdzie, rozbudził się Dżęga, i krzyk chłopaka, którego targnął za włosy, aby wstał, oznajmił, że stary był na nogach. Posłyszała go Lenora i cyganka spiąca przy wozie; zarżały nawet konie poznając ten głos pański, którego słuchać były nawykłe. Chłopak począł ogień rozpalać machinalnie. Dżęga obejrzał się niewidząc córki, i długo szukał jej oczyma, ale nie zawołał. Dostrzegł ją w dali i poszanował może smutek, którego się domyslał.

Napił się wódki z faszki, którą nazad wetknął do woza, zapalił fajkę i powoli począł iść ku Lenorze, która się z miejsca ruszyć nie mogła. Już zdala poznał niezwykajne na jej twarzy wzruszenie i boleść; patrzył na nią idąc, naostatek zbliżywszy się w słońcu legł na trawie, obrócił twarz ogorzalą ku niej i rzekł:

— A co? żal biedniaczcze cieplej izby, cienkich sukni, i tamtego wiecia! Jam o tem wiedział, że tak będzie! Chciałaś żyć za ojcem, otóż masz coś zyskała, chłodne noce pod gołym niebem na twardej ziemi. A toć jeszcze jeden z tych noclegów, który człowiekowi wspomnieć miło.. nie było ani trzaskającego mrozu ani ulewy, coby do ciała przemoczyła... Ty tego życia nie wytrzymasz, i po co ci się to zdało?.. Ja to zrozumiałem.. Tobie trzeba żyć w pałacu, białym chlebem.. i na starość zapracować.. Ty pojedziesz z Sandorem Palmy...

Lenora spojrzała na ojca groźno..

— Ah! dodał stary.. przewrócona głowo; cóż, chcesz żeby Sandor się wprzódy z tobą ożenił? A na co ci to? czy go twoje oczy nie mocniej wiążą od głupiej przysięgi, której z nich żaden nie dotrzymuje?.. Ale z ciebie zrobili chrześciankę.. że teraz nie wiedzieć, jak do rozumu przyprowadzić! Wszystko u ciebie grzechem...! Śmij się z tego! Sandor ładny chłopiec.. dla ciebie gotów oddać koszulę.. i mnie dobrze zapłaci, boć mi się coś za dziecko należy.. i tobie u niego dobrze będzie.. bylebyś rozum miała. A darmo ci ze mną na słowa się bić — ja nie dam się wziąć! Co ja powiem, musi być! Proszę się dziś ubrać jak najlepiej.. bo Sandor przyjedzie, targu dobijemy.. Chcesz czy nie chcesz.. musisz z nim iść.

— Ojczy — odparła Zara — czy u was cyganów rodzice dziecko jak konia sprzedają?

— Nie jak konia ale jak człowieka.. zawołał Dżęga. Niby to gdzie jest inaczej! — Rozśmiał się. — Tak samo na tym świecie bogatym i mądrym.. tylko to inaczej wygląda.. sprzedaje ojciec, matka, krewni i sama dziewczyna siebie..

— A jak ja nie zechę? — zapytała..

— Wsadzę cię związaną na wóz lub na konia.. i pojedziesz. Będziesz się złościć.. a uledez musisz, nawykniesz, i będzie ci dobrze.. Nie sprzedaję cię staremu trupowi. Sandor ładny chłopiec.

— Ale ja nie chcę Sandora..

— Cóż to ja ci królewiczów mam szukać? — rzekł cygan szydersko.. Porzucisz go potem i będziesz sobie sama wybierać.. ale kiedy cię mam w ręku, byłbym głupi, gdybym cię cyganowi dał..

Leonora się wstrząsła cała.. postrzegł to ojciec..

— Słońce wysoko! — zawołał.. idź się ubieraj! idź! — podniósł rękę z nahajką dobytą z zapasa.. Sandor może nadjechać, pójdę sam po niego.. nie chcę, by cię tak zobaczył, jeszcze by mu ochota odeszła...

Z ogniem w oczach ale z rezygnacją Lenora poszła zwolna ku wozowi.. Dżęga, który ją śledził oczyma, nie mógł już odgadnąć co myślała..

Od kilku godzin uczucie niemocy, rozpacz, żal po Zbigniewie złamały tak biedną dziewczynę, iż postanowiła korzystać z następującej się zrzeczności do oswobodzenia.

Sandor Palmy, o którym wspomniał cygan.. łatwiejszym był może, jak sądziła, do pokonania niż ojciec.. W czasie pobytu na węgierskiej ziemi u podnóża Karpat wypadkiem spotkali konno przejeżdżającego majętności swoje Sandora. Był to młody magnat, wychowany we Francji, od niedawna władający majątkiem, mężczyzna piękny, zdający się wykształconym i mający w sobie coś rycerskiego. Piękna twarz i postawa Lenory zwróciła jego oko, po kilka razy przyjeżdżał do obozu, starał się zbliżyć do niej, ale w obawie, aby nie rozbudzić w nim zbyt żywej namiętności ukazując mu się z idealniejszej strony, Lenora udawała przed nim prostą cygankę.. Dżęga wiedząc o bogactwach Palmego, umyślnie go pociągał, powziawszy myśl sprzedania mu córki. Według jego pojęć był w najzupełniejszym prawie uczynić z nią, co mu się podobało.

Mimo milczącej i smutnej postawy Lenory, która unikała okiem nawet nań rzucić, Palmy po trzeciej czy czwartej bytności w obozie rozgorzał namiętnością dla cyganki. Chociaż Zara udawała dziką, prostą dziewczynę, zdradzało w niej inny obyczaj wychowanie, ruch, postawa a nawet białe delikatne ręce... które Sandor pożerał oczyma. Był on jednym z tych ludzi, co się w rękach kochają.. Zakochał się w przypadkiem dojrzaną rączkę Lenory. Przyłączyło się do tego młodzieńcze marzenie wychowania tej dzikiej istoty i stworzenia z niej tego ideału wszczepionej cywilizacji na latorośl młodą i silną, jakiej ona sama już nie wydaje. Sandor powiedział sobie, że ją zawiezie do Paryża, że weźmie nauczycieli, że ten dyament czarny oszlifuje tak, iżby mógł zdobić królewską koronę. Nie wiedział, nie domyślał się wcale.. czem w istocie była Lenora...

Milcząc i patrząc nań, choć dla niego najmniejszego nie powzięła uczucia, cyganka poznała go instynktem jako szlachetniejszą istotę, zablakaną w marzenie.. Rachowała więc teraz na niego, iż odzywając się do serca i szlachetności.. odzyska swobodę, którą przez miłość dziecięcia straciła..

Posłuszna więc na oko ojcu, poszła ku wozowi, aby się przedziać. Stara cyganka pomogła jej skwapliwie, patrząc z rodzajem zazdrości na tę czarodziejską młodości postać.. marząc może o jej przyszłości.

Dżęga także przywdział kurtę i przybrał poważną minę kupca, który drogi towar ma na zbyciu...

Było już około południa, gdy wprawne ucho cygana usłyszało tentent koni i węgierskiego wózka na drożynie przez wąwóz wiodącej w dolinę. Spojrzał na Lenorę, a spokojna, blada jej twarz znać go upewniła o posłuszeństwie, bo się wpatrzył w szyję wąwozu i córce dał pokój. Echo gór coraz dobitniej przynosiło stukot kół po kamienistej drożynie, stąpanie koni i brzęk uprząży.. Tuman kurzu, pędzonego lekkim wiatrem, ukazał się w szyi między górami, potem rączce konie i wóz i dwóch jeźdźców na tęgich wierzchowcach.. Jeden z nich wyjechawszy zaledwie z wąwozu klasnął na konia i w cwał puścił się ku cyganom, potem czarnego osadził w miejscu i zeskoczył rzucając mu cugle na szyję. Był to Sandor Palmy.

Młodzieniec był piękny, z oczyma ognistymi, czarnym włosom, zbudowany jak Antinous, a strój opięty narodowy dodawał mu posagowego wdzięku. Na twarzy wszakże znać było może, iż ta gorąca natura Atyllońskiego prawnuka w osłabiającej łaźni stolic europejskich wyszana została; Paryż i Wiedeń zostawiły ślady na obliczu nieco zmęczonem.. sarkazm prześliznął się po tych ustach, w oczach błyskało szyderstwo..

Dżęga pokornie zdjawszy kapelusz szedł z ręką spuszczoną ku niemu..

— No a cóż stary? — spytał Sandor zatrzymując się i patrząc w stronę, gdzie stała Lenora — a cóż? dziewczyna się zgadza czy nie?

— Musi! — rzekł Dżęga..

— Ale ja nie chcę łez i płaczów! — przerwał Sandor — to nudne...

Dżęga ruszył ramionami.

— Ej, — rzekł — u nas w miłości łzy nie szkodzą, u was nie wiem..! Jak do ryby pieprzu, tak do miłości łzów trzeba.

— Daj mi tam pokój, jeżeli dziewczyna się będzie opierać.. ja nie chcę..

— Myślę, że nie — zawołał Dżęga — powiem jej dwa słowa...

Palmy nie posunął się ani krokiem, dał odejść starem, który pospieszył do Lenory, groźnie przemówił do niej, nie otrzymał wprawdzie odpowiedzi, ale nie posłyszal też i odmowy.. i pospiesznie wrócił do Sandora, wskazując mu ręką córkę..

— Przecież idźcie do niej zagadać.. dziewczyna rozmówna.. a tylko umieć trzeba usta jej otworzyć..

Palmy korzystał pospiesznie z pozwolenia, poszedł żywo ku Lenorze, i zawsze jeszcze sądząc ją prostą cygan-

ką, powitał z pewnym rodzajem poufałości. Czekalo go tu niespodziane i niepojęte dlań zdziwienie.

W chwili gdy się zbliżał do niej, miała oczy śmiało po raz pierwszy zwrócone na niego z wyrazem, którego w nich spotkać się nie spodziewał. W tych oczach podniesionych, śmiałych, mówiących nie dziką myślą dziecka pustyni, ale promieniem rozumu, Palmy ujrzał — poznał istotę jakby nową... Lenora przebrana tylko po cygańsku wydała mu się Paryżanką... Jeszcze ust nie otwarła... osłupiał. Zdawało mu się, że inna od tamtej pierwszej dziewczyny nieśmiałej, z oczyma spuszczone mi siedzącej — zajęła jej miejsce.. Stał.

Lenora miała już cały plan postępowania osnuty; korzystając z chwili zdumienia i zawahania, nim Sandor miał usta otworzyć, odezwała się śmiałym, dźwięcznym ale powagi pełnym głosem, po francuzku.

— Rachuję na uczucie honoru węgierskiego magnata, wszak się na niem nie zawiodę?

Na dźwięk tej mowy Sandor zbladł, strwożony, stanął jak wryty.. nie wierzył uszom swoim. Lenora mówiła dalej.

— Przybyłeś pan dogodzić jakiejś fantazyi wielkiego pana kupując córkę cygańską dla zabawy..? Mogę to mu przebaczyć, bo mnie ocalisz, gdy zechcesz.

Sandor jeszcze się nie zebrał na żadną odpowiedź, ale machinalnie sięgnął ręką do czapeczki, zdjął ją z wielkiem poszanowaniem i uklonił się.

— Posłuchaj mnie pan — zaczęła Lenora. — O białym dniu, wśród dziesiętnastego wieku wpadłeś w historią z Tysiąca nocy.. Ale są rzeczy prawdziwe a nieprawdopodobne...

— Słucham pani — nieśmiało odparł Sandor.

— Tak, jestem córką Dżęgi, — dzieckiem od piersi matki wziętą byłąm na wychowanie przez bezdzietną zanną, świętą kobietę, która mnie jak własne dziecko ukochała i wychowała jak pańskie dziecię.. Moja matka i opiekunka umarła.. Ojciec przyszedł; widząc upadek tego człowieka, sama dobrowolnie poszłam za nim w nadziei, że go nawrócę.. Oto w kilku słowach historia moja.. Widzisz pan, że po jego czynie dzisiejszym musiałam wszelką utracić nadzieję. Nie mam teraz środka uwolnić się z rąk jego, tylko przechodząc w ręce wasze.. ale wy bądźcie szlachetni..

— Pani!—zawołał zapalając się Sandor—życie dam w twej obronie. Nie obwiniaj mnie.. Sama piękność twoja mnie pociągnęła, teraz twój los czyni niewolnikiem.. Zrobię co zechcesz...

— Żadnej nie wymagam ofiary, oprócz tej, którą każdy szlachetny człowiek niesie nieszczęśliwej kobiecie. Ten okup, który dasz ojcu, ja ci go mogę powrócić i wrócić. Moja opiekunka zostawiła mi część swojego majątku.

Sandor się oburzył.

— Ale mój cały majątek, jeżeli każesz, kładnę ci pod stopy.. zrobię co zechcesz...

— Słowo uczciwego człowieka...

— Słowo węgierskiego szlachcica...

— Wychowałam się w Polsce — dodała cyganka — i jestem duszą i sercem Polką. Dwa narody te związały dzieje i sympatye, jesteście siostrą i bratem.. Cyganka krwią, Polką jestem duchem... pomóż mi, zaklinam cię.

Sandor się zbliżył cały rozpromieniony. — Ale czyż pani wątpisz jeszcze, czyż wątpić możesz...?

— Wierzę — odparła Lenora — Bóg nad nami.. Mów z ojcem.

Sandor odwrócił się szybko. Cygan stał nieco opodal; rozmowa była mu niezrozumiałą, ale usiłował ją odgadnąć z twarzy, z głosu, z ruchów, i nie rozumiał nic nad to, że jakaś zgoda nastąpić musiała pomiędzy córką a magnatem.. Uśmiechał się radośnie, myśląc z zapału, jaki się na twarzy Sandora malował, korzystać.

Palmy nadto też pospiesznie, niecierpliwości ukryć nie umiając, zbliżył się ku niemu. — Dżęga włożył rękę za pas, czekał.

— No stary — zawołał Węgier — dobijemy targu.

— Dziewczyna się zgadza? tak! to dobrze.. Ale wy, kochany panenku, nadto z nią zaraz wystąpiłście pokornie.. Mnie do tego nic.. a tak się nie prowadzą kobiety, siedźcie wam na karku.. Straszyc je trzeba, nie płaszczyć się przed niemi..

A po chwili dodał:

— Musicie dobrze zapłacić; dziewczę, jakiego w całym Peszcie ze świecą nie wyszukacie: gra, śpiewa.. chodzi uczono.. a gardło wam daję, że jej mężka ręka nie dotknęła.. bo to harde jak królowna.. O! musicie dobrze zapłacić!

Sandor przez jakies uczucie wstydu odprowadził w bok cygana, aby nikczemny ów targ nie obił się o uszy nieszczęśliwej. Miarkując z rozgniewania młodego człowieka, któremu pilno było cudną przygodę doprowadzić do końca, cygan się począł targować twardo. Sandor milczał ponuro, słuchał, myślał więcej pono o tem, co mu mówiła Lenora, niż o cyganie, który stał przed nim, nie mogąc go wyrozumieć. Milczenie magnata posłużyło mu, bo Dżęga uląkł go się zrazić i nareszcie postawił żądanie, które jakkolwiek dosyć znaczną wynosiło sumę, mogło wszakże być przyjęte. Jako dobry ojciec, cygan zażądał przytem, aby Sandor nie bił jego córki i łagodnie się z nią obchodził, nie folgując wszakże zbyt.. Dodał, że w posagu jej oddaje wszystko, co z sobą ma, wychwalając suknie drogie i pokupowane fraszki..

Sandor słuchał ciągle jakby we śnie, rozgorączkowany, by prędzej skończyć, poprowadził do swego wózka Dżęgę i tam ostatecznie z nimi wreszcie dobił nieszczęsnego targu.

— Nim ją zabierzesz—odezwał się nareszcie z dziwnym westchnieniem Dżęga—niech no ja z nią pomówię; dam jej jeszcze naukę na drogę...

— Jaką?—groźnie spytał magnat trochę wylękły—ona już należy do mnie, wارا obrazić ją słowem.. nawet!

— O! nie bójciez się, muszę się z nią pożegnać—rzekł stary.. to długo nie potrwa, dwa słowa.

Schował fajkę do kieszeni i skrobiąc się po siwych kudłach, powlókł powolnym krokiem ku córce, która stała jeszcze w tem miejscu, gdzie ją był Sandor porzucił.

— No — rzekł — wszystko skończone! Nie masz czego płakać. Lepszy cię los spotkał niż się spodziewałem.. Chłopak ładny i zdaje się powolny.. Nie patrz że tak na mnie straszno, głupia dziewczyno—dodał gniewnie—powinnaś mi dziękować...

Lenora przystąpiła doń powoli..

— Bądź zdrów — rzekła — Bóg ci jak ja przebaczy — bo nie wiedziałes coś czynił, a on wiedział jak mną rozrządzić.. Nie lękaj się, wymówek ci czynić nie będę.. ale uczyn mi łaskę przy rozstaniu..

— Wszystkie odzienie ci oddaję.. bierz—zawołał cygan nie rozumiejąc dobrze, o co chodziło.

— Poszłam za tobą — odezwała się — w nadziei, że cię dla mojego Boga nawrócę.. Bóg nie przyjął ofiary.. ale on cuda czynić mocen; zrób to dla mnie—dodała zdejmując z szyi krzyżyk złoty na sznurku jedwabnym zawieszony — uczyn to dla mnie, pozwól, abym ci włożyła ten wizerunek Boży poświęcony na szyję; to czego ja nie dokonałam on cudem uczynić może.. przemówi do serca, znajdzie doń drogę, jakiej ja nie potrafiłam wyszukać..

Dżęga patrzył śmiejąc się.

— Che! che! — zawołał — dobrze! dobrze.. będę go nosił na szyi. Ty bo nie wiesz — dodał cicho — ja trzy razy byłem chrzczony! Za każdy raz mi zapłacili! A co mnie to szkodzi!!

Lenorze łzy stanęły w oczach, gdy się pożegnać zbliżyła. — Dżęga ją po ramieniu uderzył.

— Tylko bez łzów—szepnął—tym go nie ujmiesz; kto bierze dziewczynę, chce by mu było wesoło. Śmiej się.. otrzymasz czego zechcesz.. Dalipan, chłopiec tęgi i ładny.. księżniczka by się go nie powstydziała...

Milcząc już poszła Lenora do wozu pożegnać starą cygankę, która coś mruknęła niezrozumiałego śmiejąc się dziko.. Sandor czekał na nią przy wózku.. Podał jej rękę dla wsiadania.. chłopak rzucił węzełek z sukniemi.. Palmy dosiadł karego.

— Dokąd jechać? — zapytał..

— Przez Kościelisko do Zakopanego — zawołała rumieniąc się płacząca Lenora.. Węgier nie spojrział już nawet na Dżęgę, który stał krzesząc spokojnie ognia do zgasłej fajki; konie ruszyły, i wózek potoczył się kamienistą drogą między skały nad potokiem.

W chwilę potem cyganka i chłopak patrzący za odjeżdżającymi nie widzieli nic oprócz tumanu białego pyłu, który wiatr gnał w dolinę.. Dżęga położył się na ziemi, i wysypawszy złoto z kieszeni na chustę począł je liczyć raz jeszcze...

W dolinie Kościeliskiej u rozwalin opustoszonych starej karczmy i jakichś budowli zatrzymał się dopiero wózek.. Przez cały czas drogi Palmy jechał to obok Lenory, to za nią nie śmiać rozpoczynać rozmowy.. bo dziewczę płakało i mówić nie mogło. Czując, że jej strój cygański może zwracać oczy i budzić niepotrzebną ciekawość, Lenora sama poprosiła Sandora, aby pozwolił się jej przebrać. Zabrała węzełek z sukniemi, i zakryta ścianą rozwalin przemieniła ubranie na skromny zwyczajny strój, w którym w Warszawie wyszła z domu.

Gdy się ukazała, zdziwił się Węgier zmienionej zupełnie i jeszcze wyszlachetnionej postaci. W wózku jego były zapasy podrózne, ludzie rozpalili ogień pod skałą, Lenora siadła na kamieniu, a Palmy miał się za szczęśliwego, że jej mógł służyć. Trzeba przyznać, że szlachetne uczucie dawało jego obejściu z nią delikatność, na jaką by w jego położeniu mało kto mógł się zdobyć. Słowem jednym nie obudził wspomnienia chwili tylko co minionej i przykrej, ani się tłumaczył ze swojego postępowania.. Z troskliwością rycerską starał się posługiwać Lenorze i dowiedzieć, czego by po nim wymagała. Nie wątpił wszakże, iż takim postępowaniem serce sobie zaskarbić potrafi. Historia Lenory taka, jaką mu ona opowiedziała, po rozmyśle wydała mu się nieco nadto romantyczną, aby być miała ściśle prawdziwą. Domyślał się w przeszłości innych jakichś przygód, ale to w oczach jego uroku Lenory nie zmniejszało.. Każde jej słowo dowodzące znajomości świata, ludzi, literatury, sztuki wprawiało go w nowe podziwy i zachwyty. Odgadywał w końcu, że heroina jego musiała być pewnie artystką jakiegoś teatru.. i niepospolitą.. Historia wojewodziny nie zdawała mu się możliwą.. ale umiejętnie wymyśloną.

— Ha! — mówił sobie w duchu — wszystko to przecie musi się wyjaśnić; to pewna, że nie opuszczę jej dopóki prawdy nie dośledzę, a dośledziwszy — jak wypadnie postąpić — zobaczymy.

W czasie spoczynku wśród pięknej doliny Kościeliskiej rozmowa była prawie obojętną. Dopełniając tego, co mu wprzód opowiedziała Lenora, dodała jeszcze słówko o Zbigniewie i pokazała pugilares skrawiony prosząc Sandora, aby się mogli dowiedzieć w Zakopanem, czyli tam co o zabitym młodzieńcu nie słyszano.

Sandor zgodził się na to chętnie, a że wieczór się zbliżał i cienie długie zasuwwały uroczą dolinę.. wózek zaprzężono.. aby dosiadł Zakopanego przed nocą. Ludzie Palmego znali dobrze drogę, zresztą dosyć już, minawszy dolinę, utartą i nie błędną..

Tak w milczeniu znowu dojechali do wioski. Sandor sam zsiadł z konia, aby nocleg przygotować, a że w Zakopanem przebywa zwykle latem dosyć ciekawych gości, łatwo mu było znaleźć chatę czystą i stajenkę dla koni. Wprowadziwszy Lenorę do izby czystej i świeżej, której gospodarze przyjęli podróżnych z gościnną górali. Sandor nie spoczawszy poszedł sam na zwiady. Choć w tych wioskach podtatrzańskich mało na pozór jest życia i ruchu, wśród samotności i ciszy każda nowa wieść rozbrzmiewa łatwo. Ludzie idący do kościoła, spotykający się na gościńcach rozpowiadają sobie najmnniejszą przygodę, cóż dopiero, gdy się coś niezwykłego przytrafi. W Zakopanem wiadano już o uratowanym nieznanym, który był w sąsiedniej wiosce na plebanii u księdza. Wprawdzie trudno było domyśleć się, czy ten był sam, o którym rozpowiadała mu Lenora, lecz zbliżenie dat czasu miejsca, rozgłos, iż cyganie byli sprawcami morderstwa, niezmiernie prawdopodobnym czyniły znalezienie w uratowanym tego, którego ona za zabitego miała. Sandor chociaż w nim domyślał się kochanka, rywala, choć był już zajęty swoją zdobyczą do szaleństwa, nadto był szlachetnym, żeby śmiać tać przed Lenorą, co posłyszał.

Pospieszył więc do niej z wieścią pomyślną. Zapóźno już było dnia tego, by do sąsiedniej wioski pośpieszyć. Lenora słabą też miała nadzieję, ażeby Zbigniew mógł być uratowany; dalszą więc podróż odłożono do jutra. Sandor pozostał na straży chaty, w której górale przyjęli na nocleg podróżnych.. w podwórku rozłożono się obozem.

Zbigniew był nieco lepiej; starania plebana, młodość, niewykwintne leki wiejskie, które wiele przynajmniej zaszkodzić mu nie mogły, dozwoliły naturze oddziaływać przeciw ranom i stłuczeniom, a gdy raz siły jej działały zaczęły, czas tylko stanowił o wyzdrowieniu. Choć poobwiązywany, wybladły, okryty sińcami, chłopak mógł się w rzadkie dni ciepłe na wiosennem słońcu wygrzewać. Uspokajając matkę napisał do Warszawy, nie wzmiankując wcale o nieszczęściu. Szerzej doniósł o niem doktorowi, będąc do tego zmuszony stratą papierów i ostatniego grosza. Nie wiedział, co dalej pocnie, chociaż straszliwy ów napał bynajmniej go nie odwiódł od myśli ścigania Lenory. Umysł jego nią tylko był zajęty..

Dnia tego właśnie dozwolono mu około południa wyjść przed plebanią, której ganek zwrócony był ku słońcu; siedział na ławce położywszy głowę na rękach opartych na poręczy.. i patrzył na dalekie pasmo gór, z których ostatnie obłoczki odlatywały rozpuszczając się w powietrzu; gdy w bramie ukazała mu się Lenora.. a za nią nieodstępny towarzysz, węgierski panicz, w swem malowniczym ubraniu.

Zrazu Zbigniew wziął to za jakiś sen oczów widoku jej spragnionych, ale gdy Lenora żywszym coraz postępując krokiem ku gankowi zbliżyć się zaczęła i poznawszy już Zbigniewa wyciągnęła ku niemu ręce — wstał na chwilejających się nogach, pobladł i padł na ławę bezsilny. Widok Lenory byłby może na nim tego nie sprawił wrażenia, ale tajemniczy ten towarzysz jej — w którym się domyślał — któż wie? męża? kochanka? — przybił biednego. Wielkimi oczyma patrzył, nie mogąc się słowem odezwać.

— Panie Zbigniewie, czyś mnie nie poznał?

— A! pani! — zawołał słabym głosem ranny — czyż by to być mogło? Ale się widzieć niespodziewałem.. w oczach mi się zaćmiło, nie dowierzałem im..

Lenora zapomniawszy na towarzysza, weszła na ganek pospiesznie i poufale siadła przy nim na ławce, wpatrując się w tę twarz, na której malowało się tak dobitnie cierpienie — męczeństwo, które on poniósł dla niej.

Łzy zakreśliły się w jej oczach.

— Zaczny, pocziwy, dobry przyjacielu mój! powinna-bym ręce twe ucałować.. tyś o mało życia nie postradał dla mnie — zawołała — ja wiem wszystko.. ja przyszedłam ci na kolanach podziękować..

Zbigniew się uśmiechnął nieco rozpromieniony, ale wejrzenie padło na urodziwego Węgra, i spytał oczyma Lenory — kto by on był. Odgadła myśl jego, i skinęła na niewolnika.

— Hrabio Sandor, podaj rękę temu bratu memu po niedoli, powinniście być przyjaciółmi, bo oba serca macie szlachetne.. A ty, Zbigniewie, powiedz mu moją historią prawdziwą, całą, bom na czole jego wyczytała niedowiarstwa cień.. a nie chcę, by mnie posądzał.. Hrabio Sandor.. pytaj go.. Mnie pozwólcie wniknąć do plebanii i podziękować gospodarzowi..

Węgier zmierzył oczyma tego, którego za przeciwnika swego, za współzawodnika uważał.. — Mów pan, — rzekł.. nie jestem nieufny, ale żądny jestem wiedzieć dziwne przygody tej kobiety, którą miałem szczęście wydrzeć z rąk brudnych..

— Wszakże ona sama wszystko wam już powiedziec musiała — rzekł podnosząc głowę Zbigniew.. swe pochodzenie, przysposobienie przez świętą i złą niewiastę, osierocenie po jej śmierci, i to, co ucierpiała od krewnych, i swe poświęcenie dla ojca... cóż ja tu dodać mogę?

Sandor zdziwiony wielce zgodnością dwóch powieści milczał.

— Ale czego ona sama powiedziec wam nie mogła — dodał Zbigniew, — to przymiotów duszy, to skarbów serca, to swojego bohaterstwa, cierpliwości... i cierpienia... Jeżeliście na chwilę ją posądzili, szanowny panie, grzech to, bo czystszej istoty nie ma i nie było na świecie.

— A czemuż wy dla niej jesteście? — zapytał Palmy.

— Ja jestem robakiem, którego wychowała, ubogiem

chłopięciem, ratowanem przez nią; jej winieniem wszystko i gotówem umrzeć dla niej.

— Ale cóż ją pobudzić mogło, rzucić się w tę otchłań cygańską? — spytał Sandor.

— Poświęcenie dla ojca! chciała go nawrócić, sądziła to swym obowiązkiem.

— Cygana! starego zatwardziałego zbója chcieć na ostatnie lata zrobić uczciwym człowiekiem! — Rozśmiał się Palmy. — Wierzę, iż taka piękna pani cudów dokazywać może, ale to przechodzi ludzkie siły... sam Bóg pono nie dokaże tego...

Ruszył ramionami... zamyślił się i zwrócił może umyślnie rozmowę.

— A wy co z sobą myślicie? — zapytał.

— Ja? — rzekł Zbigniew — najprzód trzeba bym mógł myśleć... Do wczoraj jeszcze w potłuczonej głowie snuły mi się gorączkowe widma, nie myśli... a dziś budzę się dopiero do życia... Czy będę żył — któż wie... Cyganie chcieli widocznie, bym nie wstał więcej z tych zarośli, do których mnie tłukąc zawlekli... Straciłem przytomność po kilku uderzeniach ostatnich... Czuję ciepłą krew oblewającą mi oczy i twarz i... potem — nic...

— Wielu ich było? — spytał Sandor.

— Czterech... Zbliżyłem się śmiało, z zaufaniem, szliśmy prowadząc rozmowę, nie posądzałem o zasadzkę. Obiecywali mnie zaprowadzić do Dżęgi, gdy nagle odszedłszy ścieżką od gościńca...

Na te słowa Lenora weszła z proboszczem, Węgier wstał na ich przyjęcie, a Zbigniew przestał mówić.

Z rozmowy z plebanem przekonała się cyganka, że

Zbigniewa, którego chciała zaraz zabrać ztąd, aby go oddać w ręce bieglejszych lekarzy, nie podobna było wieść jeszcze. Stan jego nie dozwalał o tem ani pomyśleć.

Doktor wielce powątpiewał o wyzdrowieniu, lękając się, by jaka choroba nie wywinęła się skutkiem ran i potłuczeń; w każdym razie spokój był dlań pierwszym warunkiem kuracyi. Lenorze zaś potrzeba było natychmiast spieszyć do Warszawy, aby wykupić się z tego rodzaju niewoli Sandora, która jej ciążyła, i wyjść z fałszywego położenia.

Węgier im bardziej się upewniał, że w powieści o przebranej za cygankę carodziejce nie było fałszu, tem mocniej się ku niej zapalał. Milczący stał na uboczu, ale w duchu powtarzał sobie, że na krok jej nie odstąpi... Szczęściem mam do tego pozór dobry, bo jest samą i potrzebuje opieki... inaczej wstydy mi było odegrywać rolę natrętnego wierzyciela.

Pleban, człowiek surowych obyczajów, mimo pewnych już wiadomości o przygodach osób, które się pod jego dachem zebrały... wcale nie rad był tej pannie cygance, temu magnatowi węgierskiemu, łączącemu się z nią jakimś niesakramentalnym węzłem, Zbigniewowi nawet, który mu gości takich naprowadził. Na wytłumaczenie dlań tak drażliwych stosunków nie starczyła lada powiastka.

Panna latająca po gościńcach z magnatem węgierskim, oboje piękni i młodzi... nie podobali mu się.

Widać było z jego twarzy posępnej, iż nie rad był odwiedzinom na plebanii... Zbigniew milczący myślał tylko nad tem, jak prędko przyjdzie mu stracić z oczów swój ideał i czy go już kiedy w życiu zobaczy... (C. d. n.)

W I E R S Z Z Y G M U N T A K R A S I Ń S K I E G O .

(NIGDZIE NIEDRUKOWANY.)

Chciałbym spokojnie, lekko, bez boleści
Rozsnuć do światła wiążące mnie nicie,
Zniknąć bez śladu i przepaść bez wieści,
Jak łąza w potoku, jak mgła na błękanie.

Lecz zanim chwila wyroczna przeminie,
Nim, zkądem przyszedł, powrócę do Boga,
Chciałbym być z tobą w ostatniej godzinie
I cicho konać na twem ręku, droga!

A gdy już rzucę wszelkiej troski brzemię,
I ty na ciało będziesz kładła ziemię,
Proszę cię, nie chciej dusznego sklepienia

Klasztornych murów kłaść nad mojem czołem;
Dość mi już było na ziemi więzienia;
Śmierć niech łąk polnych otoczy mnie kołem.
Gdzieś na zielonem i otwartem polu,
Pod niebios wiecznie błękitnem sklepieniem,
Złóż moję głowę senną, pełną bólu,
I marmurowym przykryj mnie kamieniem,
A marmur ochłódź wonnym krzewów cieniem.
Zasiej tam, zasadź bluszcze, rozchodniki,
Stulistne róże, podwójne gwoździki,
Niezapominki i nieśmiertelniki,
Italskie mirty, podalpejskie dalje,
I borów naszych pamiętkę — konwalie.

Wszystkie, co kochasz i com ci przynosił
Za życia kwiaty, oddaj umarłemu;
Wspomnij, żem o nie zasypiając prosił,
I rzuć je wieńcem pod głowę spiącemu.
Niech przytłoczony tym ostatnim darem,
Pchan coraz niżej tym kwieciami ciężarem,
W wieczność zapadam, aż w niej się przetworzę
Ne drobne listki, gałązki, kielichy,
I z głębi grobu wyrosnę kwiat cichy,
I serce wonne przed tobą roztworzę.

Tak każdej wiosny ócz wonnych tysiącem
Będę wyzierał za śmierci okręgi,
I rósł tam jeszcze przy tobie, pod słońcem,
Stopy ci w miękkie obwiązując wstęgi.
Rwij mnie, bierz, rwij mnie, przyczepiaj do skroni,
Co ciało zdoła, to ciało da tobie;

Nic się już z niego nie zostało w grobie,
W kwiat się zmieniło, a kwiat zniknął w woni.

I duch mój czeka, aż woń ta powróci
Przez smugi niebios niesiona wichrami,
I znów go ciałem do koła obrzuci,
Lecz innem, światłem, wspólnem z aniołami.

Przenoś więc dalej na tej dziwnej drodze
Z głębin grobowych do jasnego nieba
Wszystkie te kwiaty, które w grobie rodzę;
Nim mnie obleką, zwiędnąć im potrzeba
Na piersi twojej; bo ztamtąd dopiero
Uniewidnione w niebo się wybierą
Do ducha mego, i ciało me w niebie
Będzie z tych kwiatów, co zwiędły u ciebie.

Pszczoły.

Każdy zapewne z was, łaskawi czytelnicy, zna pszczoły, kosztował miodu, który zawdzięczamy ich pracy; ale myślę, że mało który był tyle ciekawym, ażeby nie zważając na groźne żądło tego owadu, bliżej się chciał ich siedzibie i zwyczajom przypatrzeć.

Wiadomo nam, że i owady, do których i pszczoły należą, odbywają przemiany czyli przeobrażenia; wiemy także, że pszczoły tworzą towarzystwa, tak zwane roje, i razem zebrane gnieźdzą się i zamieszkują już to ule, gdy je człowiek dla swego zysku przygarnie pod strzechę, już też wydrążenia drzew w lasach, gdy żyją dziko.

Otóż w każdym takim roju jest tylko jedna samica, niosąca jaja. Gdy w właściwe po temu miejsce samica złoży jajko, w pewien czas stosownie do rodzaju pszczoły, jaka się ma wylęgnąć, wykluwa się gąsieniczka; ciało jej długie, prawie zupełnie miękkie, niczem nie jest podobne do ciała dojrzałej pszczoły. Pożywszy w tym stanie zakreślony przez naturę czas, otrzymuje pod skórą ukryte skrzydełka, i zrzuciwszy dotychczasową sukienkę, zostaje poczwarką. W całym ciągu tego drugiego okresu swojego życia osobliwsze to stworzonko przestaje brać pożywienie i staje się nieruchomem. Skóra wtedy zsycha się na niem, i stanowi rodzaj jajowatego oprędu, pod którą to powłoką, przez czas pozornego spoczynku, wewnątrz ciała owadu odbywa się czynna praca, której rezultatem jest zupełne rozwinięcie się całej jego organizacyi. Wewnętrzne części miękną i przybierają kształt mniej więcej ten sam, który zachować mają; rozmaite organa, które ma posiadać

dojrzały owad, rozwijają się pod okrywającą je osłoną, a gdy się już całe przeobrażenie ukończy, zruca z siebie martwą maskę, rozwija skrzydła i zostaje dojrzałym owadem.

Pszczoły dzielą się na robocze, samce czyli trutnie i matki tj. samice. O każdej z tych warstw pszczolego towarzystwa, jako mających osobne cechy, mówić będziemy w dalszym ciągu.

Człowiek w najdawniejszej starożytności, jeszcze przed rozwojem wszelkiej oświaty, gdy żył w stanie natury i nieledwie tylko instynktem powodował się w wyszukiwaniu sposobów do utrzymania i umilenia życia, znał pszczoły i ciągnął korzyści z tych mądrych owadów. Biblia wzmiankuje o nich nie raz. W hebrajskim języku zwały się one Deborah, a Grecy określali je mianem Melissa lub Melitta.

Zadziwiająca w pszczole zdolność budownictwa, ich zapobiegliwość, skrzętność, spryt i urządzenie wskazujące prawdziwą inteligencyą, ich zachwycająca organizacya społeczna, od najdawniejszych czasów zwracały uwagę tak naturalistów, jak poetów i myślicieli. Wirgiliusz je wstawił, wskazując zarazem w śpiewach swoich, jakie wiadomości starożytni o pszczole powzięli. Z wielką prawdą maluje główne rysy ich życia, wskazując także ich nieprzyjaciół; uważa je jako dar nieba, dona coelestia, zachwycając się pojętnością i rozumem pszczoły.

Nadmienić jednak wypada, że to, co starożytni naturaliści lub poeci o pszczolach mówią, jest mieszaną

prawdy i zmyśleń, dziś już niestety, mimo całej ich poetyczności, nie mogących znaleźć u nikogo wiary.

Pliniusz mówi, że pszczoły zajmują pierwsze między owadami miejsce, i że one zostały wyłącznie stworzone dla dobra człowieka, któremu w daninie niosą miód i воск, jako owoce prac swoich. Dodaje on, że pszczoły tworzą stowarzyszenia polityczne, że mają rady, dowódców wojennych, a nawet zasady prawa i moralności.

Ztąd widzimy, jak wysoko uważane były przez starożytnych pszczoły, którzy mimo całej zajęcia, jakie w nich wzbudzały te nieocenione owady, mieli o ich pracach najdziwniejsze pojęcia. Nie widząc nigdy rozradzania się tych małych istot, wymyślano przeróżne bajki dla wynalezienia ich początku. Jedni utrzymywali, że pszczoły powstają z zabitego i psującego się już wołu; inni dodawali, że te rodzą się tylko w łonie młodego, gwałtowną śmiercią ginącego bydła. Wedle podań z V. wieku przed Chr., najodważniejsze pszczoły miały wychodzić z żołądka rozszarpanego lwa, a królowa z głowy tegoż zwierzęcia. Trup krwi miał dostarczać łaskawych i pracowitych, zabite zaś ciele było kolebką słabych tylko i nieudolnych.

Inni naturaliści, a raczej marzyciele i poeci z profesji, upatrywali początek pszczół w kielichach woniących kwiatów!

Pszczoła szanowaną była bardzo u dawnych Egipcyan. Często się widzieć dawało na ich grobowcach wyobrażenie pszczoły. Według Hor-Apollona, badacza hieroglifów egipskich, owad ten w kraju Faraonów był godem narodu, przykładnie podlegającego swemu władcy.

Twierdzenie to zdaje nam się być słusznem, i nawet Napoleon I. prawdopodobnie tą samą myślą wiedziony, posiał swój płaszcz koronacyjny i chorągwie armii złotemi symbolicznemi pszczołami.

Wszystkie bajki, wszystkie hipotezy i przypuszczenia, pieszczone i rozkrzewiane przez starożytnych na rachunek tej pracowitej rzeszy, rozwiały się w mgnieniu oka, skoro zdołano dopatrzeć pszczole obyczaje. Meraldi w Nicei, w początku ostatniego wieku, przez utworzenie szklanego ula pierwszy wskazał drogę badania prac pszczolich, i od tego czasu powzięto dopiero prawdziwe pojęcie o rzeczywistości zastanowienia godnem życiu tych małych owadów.

Pomiędzy licznymi badaczami pszczół, których mimo ich zasług na tem polu dla braku miejsca nie wymieniam, na podziwienie nasze zasługuje Fr. Huber, ze względu, iż od 17 roku życia swego był ślepy.

Pozbawiony widoku świata Huber nie mniej gorąco poświęcał swoje życie badaniu i studyowaniu natury. Kazał sobie czytać najlepsze i najnowsze w swoim czasie prace, dotyczące się historii naturalnej i fizyki.

Codziennym jego lektorem był Burneus, zostający u niego w usługach; pocciwy, szczególnie się przejmował tem wszystkim, co panu swemu czytywał, a uwagi i po-

gład krytyczny na przejrane dzieła wskazywały prawdziwie utalentowanego badacza.

Nasi dwaj naturaliści (nie wahajmy się bowiem nadać tej nazwy biednemu wieśniakowi, który tak dzielnie dopomagał Huberowi w długich godzinach jego studyów) wymyślili mnóstwo oryginalnych doświadczeń, które im posłużyły do odkryć, o jakich przedtem nikt nawet nie marzył!

Rezultaty ich poszukiwań, ogłoszone w 1789 r., między ówczesnymi naturalistami wielkie zrobiły wrażenie. W kilka lat potem Burneus opuścić musiał przyjaciela dla obowiązków rodzinnych, a Huber prowadził dalej swoje badania oczami zacnej żony, którą w tym czasie poślubił. Przy jej pomocy po dwudziestu latach wydanym został drugi tom jego kolosalnej pracy.

Równie jak Huber, tak też i Schirach, a szczególnie Reaumur, dziełami swemi doskonale nam obyczaje pszczół rozświetlili, i w zupełności oswoili nas z życiem tych drogocennych owadów, będących niejako domownikami naszymi, a których opis zaczniemy od pszczoły roboczej.

W każdym roju najliczniejszym gatunkiem są robotnice. Liczba ich wynosi 20 do 30 tysięcy; są one znacznie mniejsze od samców i samic, zgrabniejsze i zwinniejsze. Biorą na siebie wszelki trud, potrzebny dla utrzymania i dobra całego roju. Jedne z nich znoszą skrzętnie zasób żywności i materiały budowlane, z których zarazem całą budowę stawiają, drugie zajmują się zarządem wewnętrznym, wypielęgnowaniem młodego pokolenia.

Dla zbierania materiałów pszczoły robocze wciskają się w kwiaty, mające pręciki pokryte pyłkiem, który czepia się włosków rozsianych po całym ciełe pszczoły. Tak uzbierany pyłek zmiata pracowity owad tylnemi nóżkami, nakształt szczotki kosmatemi, i wypełnia niemi zagłębienia, jakby rynewki lub koszyczki, znajdujące się na wewnętrznej stronie tych nówek. Inny znów przyrząd służy pszczole do zdobywania z powierzchni roślin rodzaju żywicy, który równie jak i pyłek w koszyczki zbiera; składa się on z pary szczęk ruchomych, okalających jej pyszczek na wzór trąbki zbudowany, który my za język uważać możemy. Gdy pszczoła robocza usiędzie na kwiecie dobrze rozkwitłym, zauważyć wówczas można, jak się zwraca do wnętrza kielicha, wyciąga trąbkę do płatków, potem ją kurczy i wykręca na wszystkie strony z usilnością niezrównaną. Gdy już trąbkę zapełni pokarmem, łapkami przedniemi oddaje łup drugiej parze nóg, która znowu wkłada w koszyczki trzeciej i ostatniej pary. Kiedy zadanie swoje



Nóżka i trąbka pszczoły powiększone.

ukończy pracowita pszczołka, bieży do ula, by tam plon swój zużytkować w sposób, który poniżej podamy. A ponieważ obowiązkiem ich jest oprócz własnej obrony czuwać nad bezpieczeństwem królowej i całej pszczolej gromady i bronić jej własności, przeto uzbrojone są żądłem, któremby bronić się mogły przeciwko zwierzętom i ludziom. Żądło takie na końcu zadzierzyste, gdy zbyt głęboko pszczoła w ranę zapuści, nie łatwo wycofać je może, wyrywa raczej z tułowu razem z częścią wnętrzości swoich, i tak pszczoła swą zapalczliwość najczęściej życiem przypłaca.

Drugim szezeblem pszczolego rodu są samce czyli trutnie, których liczba w jednym roju od 600 do 1200 a czasem do 2000 dochodzi. Rozpoznać je łatwo, gdyż są większe od poprzednich, a tułów ich grubo okrągły, w tyle kosmaty, i tępo zakończony całkowicie skrzydłami jest przykryty. Żądła zaś i koszyczków u nóg zupełnie są pozbawione.

Pokazują się one w rojach wiosną, z a szczególnie z początkiem lata, gdy się pszczoły roić mają. Są to małżonkowie królowych, ojcowie pszczolego rodu. Żyją bez trosk, bez pracy, zajądając spokojnie nagromadzone zapasy miodu przez robotnice. Ale to trwa tylko do końca lata, bo wtedy próżniaków wypędzają i przesładują pracowite pszczołki, tak że zimą nie widać już w ulu żadnego trutnia. Gdy zaś w tej porze ukażą się w roju, jest to niezawodnym znakiem, że nie ma w nim matki.



Truteń.



Matka czyli królowa.

Nareszcie matka czyli królowa jako taka, jedna tylko w każdym roju panuje. Odróżnia się jaśniejszą barwą, wielkością, a równie jak i samce nie ma przyrządów do zbierania pyłku, a chociaż posiada żądło, używa go tylko w ostatecznych razach, np. w walce o swoje panowanie. Tylko ona jedna znosi jaja, z których lęgną się wszystkie trzy gatunki pszczoł, i ztąd słusznie nazywa się matką. Mnożyć pszczoli rodzaj, jedynym jest jej obowiązkiem i dziełem, nie zajmuje się nawet odchowaniem swych dzieci, które porucza staraniom pszczoł roboczych, i pewno nie przez brak miłości rodzicielskiej, lecz dla niemożności podolenia tym obowiązkiem, wyręcza się karmicielkami. Jakże bowiem ma wyżywić swe dzieci ta matka, która ich w ciągu roku do 50.000 rodzi? Lecz za to w ulu, gdzie oprócz powagi matki piastuje godność królewską, jak to zobaczymy później władzy swojej z nikim nie podziela, i jak samodzielna monarchini włada całym narodem.

Ktoby ciekawością zdjęty przypatrywać się chciał

pszczołom w ulu żyjącym, ten nie zgorszy się ich obyczajami, owszem, znajdzie między nimi ściśle wypełniane, właściwe każdemu indywiduum obowiązki; uważano bowiem, że je między sobą rozdzielają, a co więcej spostrzeżono, że dosyć wyraźnie do rozmaitych zatrudnień są usposobione; znajdzie w ich społeczeństwie wszystko to, co ludzie u siebie z wielką trudnością zaprowadzać muszą, z tą pewną różnicą, że pszczoły swych ustaw lepiej bronią i przestrzegają, nigdy ich nie zmieniają, i nie powodując się próżnością, dla osobistych celów całego rodu nie narażają.

Zarzucana im niekiedy wada nieszanowania cudzej własności i rabowania miodu w innych ulach, albo jest przesadzoną, albo też niezbędną wywołana potrzebą, lub też nareszcie ludzie sami, niebaczny koło nich zachodem, powód i wskazówkę do tego występku dają. Nie wiem, czyby się go równie często dopuszczały, gdyby chciwość ludzka nie zmuszała ich do tego.

Zgodne pszczoł towarzystwo nie zna prócz czasu rojenia wewnętrznych zaburzeń; każda tam ufa swym współmieszkankom, ale od zewnątrz nie zawsze są bezpieczne, bo któreż państwo byłoby bez wrogów? Mieć się więc muszą na ostrożności; kiedy jedne pracują dniem, a spoczywają w nocy, inne tymczasem po kolei stoją przy głównej bramie i wszystkich otworach ula na straży, uważają co się w około nich dzieje, nie puszczają obcych, a gdy im podołać nie mogą, wzywają pomocy, i w mgnieniu oka posiłki przybywają. Nie patrzą na siłę ani liczbę nieprzyjaciół; niech się tylko człowiek lub zwierz jaki pokaże natrętnie przed otworem ula, pierwsza ze stojących na straży uderza nań odważnie, prosto w głowę, a najczęściej pod oczy; jeżeli napastnik prędko się ochroni, zakręciwszy się niedaleko pszczoła, powróci na swoje miejsce, usiedzie i pilnować będzie, czy się powtórnie nie pokaże, gdyż ona powtórnie się z nim spotkać gotowa.

Zdarza się czasem, że dopiero wewnątrz ula spostrzegą najście; cóż wtedy robić? Nie są dość silne, ażeby wyprzeć ze swoich granic tego przybysza, rzucają się więc razem na śmiałka i zabijają. Na tem nie dosyć; nie mogąc podołać ciężarowi trupa, muszą inny sposób wymyśleć przeciwko zanieczyszczeniu swojej siedziby.

Pewien cesarz rzymski mówił, że ciało zabitego nieprzyjaciela zawsze mile pachnie. Nie jest to jednakże zdaniem rozumnych pszczołek, które o higienę dbają. Wiedzą dobrze, iż gdyby trupa pozostawiły w ulu, to on rozkładając się zarazę mógłby sprowadzić. Aby zapobiedz temu, balsamują go, okrywając powłoką żywicy, zbieranej z pączków latorośli, zwanej zasklepem, która to smołka służy im także przy budowie siedziby. Ci, co utrzymują, że Egipcyanie pierwsi wynaleźli sposób balsamowania, popełniają błąd, albowiem wynalazek tej sztuki bez wątpienia pszczołom przypisać należy.

Jeżeli ślimak dostanie się w środek ula, to napa-
stowany spiesznie chowa swe ciało w muszelkę, z czego
dowcipne pszczoły korzystając, żywicą przylepiają go do
dna ula, przez co dom biednego ślimaka staje się jego
grobem i zostaje na zawsze w ulu, tworząc pamiątkę
przebiegłości i rozumu pszczoły.

W każdej potrzebie pszczoły okazują nawzajem ku
sobie wielkie przywiązanie; niech się tylko nieszczęsnym
wypadkiem popsuje w ulu robota, zerwą się plastry, lub
je uszkodzi nieostrożnego człowieka ręka, i miód się na
pszczoły wyleje, biegną inne na ratunek tonącym, podają
sobie łapki, wyciągają, oczyszczają skrzydła, tułów, by się
oblane nie podusiły. Słabym lub głodnym przynoszą miód
lub stosowne lekarstwo, odwiedzają je, zdają się badać,
co im jest i w czym usłużyłby mogły. Nie ma tu miłości
własnej, osobistej, ale wszystko ożywia miłość wspólnego
dobra, miłość całego rodu.

To uczucie pobudza je do wygnania przed zimą
trutniów, owych wcale nieużytecznych na tę porę człon-
ków rodziny, któreby swem obżarstwem ogłodzić i cały
rój zgubić mogły. Wtedy tak są nielitościwe pszczoły dla
tych darmojadów, iż nie tylko zabijają dojrzałe, ale nawet
szukają po komórkach ich zalążków, gąsienic lub poczw-
rek, i wszystkie z ula wyrzucają.

Tak zabezpieczywszy się na zimę, skupiają się w
górze ula i mało ruszając się z miejsca, przykrą tę porę
przebywają. Nie drętwieją jak inne samotnie żyjące owady,
owszem, im bardziej dokuczają zimno, tem żywiej biją skrzy-
dełkami, zagrzewają się i tem głośniej brzęczą.

Prawdziwe i największe zalety tych zadziwiających
istot w całym świecie okazują się w pracach przy budowie
siedziby. Osiadłszy w ulu, pierwszą pracą pszczół jest za-
tkanie wyżej wspomnianą żywicą (kropolis) wszelkich szpar i
otworów, z pozostawieniem wszakże jednej bramy tak obszer-
nej, ażeby jednocześnie sto pszczół przejść nią mogło. Żywicę
tę lepka owad nasz uzbierawszy na roślinie, ugniata w
gałki, i w tej postaci przynosi do ula, całe ściany opa-
truje i dopiero wtenczas zakłada gniazdo.

Nie łatwą to było rzeczą podpatrzeć zatrudnienie
pszczół, gdyż te raz osiadłszy w ulu, nie znoszą zbytniego
światła, i przez skromność, czy może przez zazdrość, nie
chcą światu misternej swej pracy pokazać.

Jeżeli osiedzą w szklanym ulu, ich pierwszym stara-
niem jest osłonięcie okna, bądź to przez zaciągnięcie na-
niem powłoki żywicznej, bądź też tworząc z ściśnionej
kolumny robotnic żywą frankę.

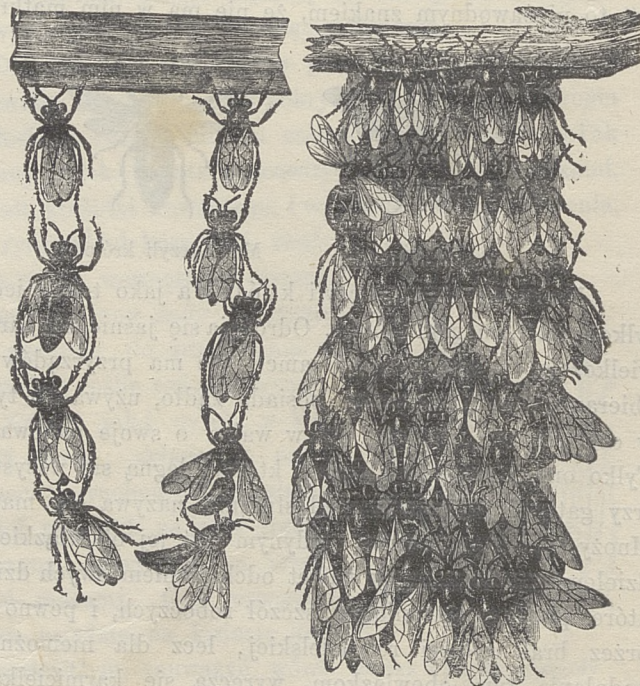
Po rozlicznych próbach zdołano nareszcie przypa-
trzeć się ich pracy. Gdy zaczynają urządzać wnętrze ula,
pszczoły dzielą się robotą: pierwszy oddział przeznaczony
jest do zbierania wosku, który stanowi fundament
dla dalszej budowy.

Długo mniemano, że tak wosk jak miód jest pył-

kiem kwiatowym, i że przetrawiony w żołądku pszczoły
pyszczkiem oddany zostaje. Wieśniak z Luzacyi pierwszy
odkrył, jakim sposobem wosk się tworzy. Badacz ten, nie
należący do żadnej akademii uczonych, lecz tylko do cie-
kawych poznania natury, spostrzegł blaszki wosku przy-
twierdzone między pierścieniami spodniej części brzucha
pszczoły, i pokazał, że wosk nie jest zwróconym pokar-
mem, lecz wyciskiem transpiracyi, pocenia się tych owa-
dów.

Ze swojej strony Huber zaznaczył, że pszczoły, ży-
wione wyłącznie pyłkiem kwiatowym, nie wydzielają wosku,
gdy przeciwnie dostarczają go w wielkiej ilości, posilając
się materią cukrową roślin. Łatwo dostrzedz możemy pla-
sterki wosku, unosząc delikatnie ostatnie pierścienie brzu-
cha tego owadu, gdzie nam się przedstawia w formie
fetonów z masy tłustej i białej.

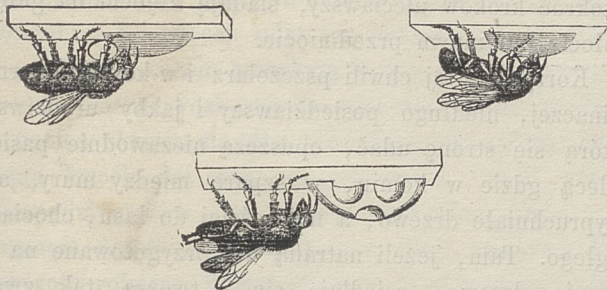
Dla utworzenia plastrów pszczoły robocze przyce-
piają się do sklepienia ula, gdzie najdrobniejsza chropo-
watość służy im za kamień węgielny dolnej budowy.
Pierwsza utwierdziwszy się na pułapie przednimi łapkami,
podaje tylne następnej, która zahaczywszy się o nie,
znowu tylne nóżki podaje trzeciej i t. d., a tym sposobem
tworzą łańcuch z dwóch stron do pułapu przyczepiony. Służy
im to za rusztowanie i drabinkę dla przybywających pomo-
cnic, przezco tworzy się grono wiszące długości wnętrza ula.
W tem położeniu pozostają czas jakiś nieruchomie czekając,



Łańcuch i grono pszczół przy tworzeniu plastrów.

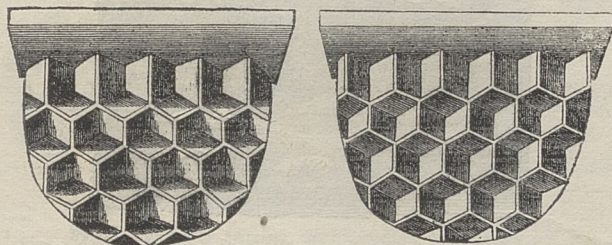
aż pokarm zostający w ich żołądku nie przerobi się na
wosk. Wkrótce jedna oddziela się od grupy, której była
częścią, co oznacza, że wosk już ma dostatecznie przy-
gotowany. Wygarnie go łapkami z pomiędzy pierścieni,
gniecie szczękami, zwilża śliną, i nadaje mu postać mięk-

kiej masy, którą przylepia do wystającego punktu na sklepieniu. Do tej pierwszej galki dorzuca kilka innych, dokąd nie wyczerpie całej swej prowizji wosku. Natenczas opuszcza ul i powraca po plon na pola. Następna robotnica, mularka jak ją niekiedy zowią, posuwa się na jej miejsce i dalej zakłada fundamenta. Niezadługo nieforemne słupy wosku spuszcza się ze sklepienia. W tych to słupach inny oddział pracowni wyźlabiać będzie swemi szczękami pierwsze komórki czyli celki.



Pszczoly przy budowaniu komórek.

Przez ten czas mularki pracują dalej nad przedłużeniem ścian fundamentów, i w miarę jak te pierwsze komórki budują, materiał na inne już jest przygotowany. Robota posuwa się z cudowną szybkością. Każda komórka przedstawia nam kubek sześciokątny, zamknięty z jednej strony tylko przez dno piramidalne, utworzone przez zetknięcie się trzech ścian. Plastry zaś są wynikiem zetknięcia się grzbietem dwóch warstw komórek tak ułożonych, że dno mają wspólne. Ażeby to uczynić, pszczoły zaczynają od nadania kształtu oczkom, które utworzą dno celki, następnie dopiero wygładzają ściany dopełniające formę sześciokątnego kubka. W tym czasie inne robotnice zajmują się stroną przeciwną plastra, i tę samą wykonują pracę.



Komórki matek.

Komórki trutniów.

Komórek tych nie wykończają odrazu. Z początku ściany są bardzo chropowate i grube, a wykończenie zostawione jest nowemu zastępowi pszczoł, mającemu za zadanie, zająć się wygładzeniem i przyprawieniem do należytej cienkości ścian komórkowych.

Robota taka idzie z szybkością nieporównaną, gdyż pszczoły jednego roju mogą wybudować i wykończyć w przeciągu dwudziestu czterech godzin blisko cztery tysiące komórek. Forma sześcienna komórek nie jest przypadkową lecz wyrozumowaną, jeżeli wypada się tak wyra-

zić, przyczynia się bowiem do zaoszczędzenia miejsca i materiału. Patrząc na komórkę, to arcydzieło matematycznej ścisłości, podziwiać musimy zarówno plan całej pracy jako też i wykonanie.

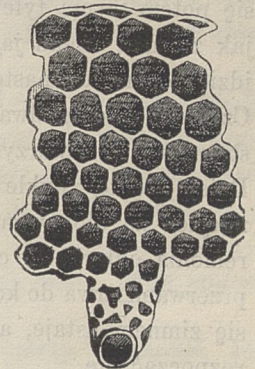
Dowiedli matematycy, że rozum ludzki nie mógłby wymyśleć korzystniejszego rozkładu, gdyby szło o największą oszczędność miejsca i materiału przy wykonaniu największej ilości budowli.

Takie są komórki dla pszczoł roboczych i dla samców, z tą tylko różnicą, że dla ostatnich są nieco większe; wcale zaś odmienne budują dla matek; na te nie żałują robotnice ani materiału, ani miejsca: nadają im kształt napałka, wewnątrz wydrążonego. Na jedną komórkę dla królowej tyle potrzeba wosku, co na sto zwyczajnych, i umieszczoną jest niemal pionowo do kraju plastra, otworem będąc na dół obróconą.

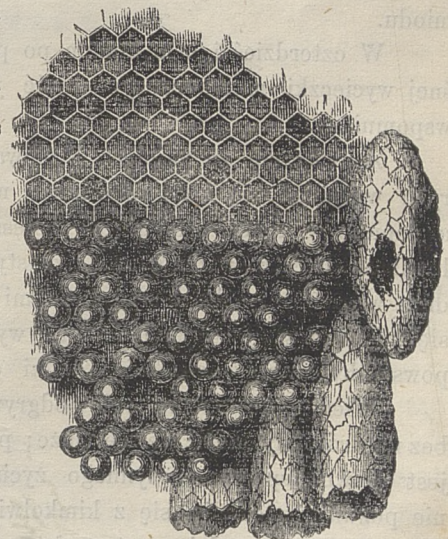
Plastry wiszą zawsze równolegle jeden do drugiego i tak są oddalone od siebie, iżby przechodzące po nich pszczoły wygodnie mijać się mogły. Żeby zaś skrócić sobie drogę z jednego plastra na drugi, porobione są w nich tu i owdzie otwory. Wszystkie w ulu komórki, uważać możemy za kolebki wylęgającego się pszczolego potomstwa i za magazyny zapasów żywności, jakimi są: czysty miód jak również pyłek kwiatowy miodem zarobiony, który się

zowie chlebem pszczołim. Pożywienie tu zgromadzone przeznaczone jest na dzienną konsumpcją, a także służyć ma na zapas w czasie, kiedy rośliny więcej nie będą go dostarczać; i w tym celu, napełnwszy poprzednio przeznaczone na ten cel komórki, zasklepiają je cienką woskową błoną.

W pierwszych zaraz dniach wiosny pszczoły robocze przewidując, że matka jaja składać pocnie, rewidują i czyszczą wyprzątione przez jesień i zimę komórki, aby były zdadne do pomieszczenia zalążków, a gdy te, które już są, okażą się zanadto szczupłymi, dobudowują nowe.



Komórki pszczoł roboczych.



Komórki pszczoł z zalążkami.

Nieść się mająca matka, otoczona kilkudziesięciu pszczołami, idzie porządkiem od jednej komórki do drugiej, włazi naprzód głową do dna, jakby przekonać się chciała, czy komórka w należytem jest stanie, spuszcza się potem w nią tyłem i składa na dnie podłużne, małe jak ziarnka maku jaja, kleistą wilgocią je przylepiając; idzie potem do następnych zawsze oglądając je pierwej. Czasem zniesie dwa jajka w jednej komórce, ale spostrzegłszy to towarzyszący jej orszak, niszczy zaraz jedno. Dzieje się to zwykle, gdy plastry nie przedstawiają dosyć miejsca na ulokowanie wszystkich zniesionych jaj. Ta ceremonia odbywa się codziennie przez czas jakiś, i z małemi przerwami trwa do końca jesieni, i dopiero ze zbliżającym się zimnem ustaje, ażeby znowu wraz z wiosną na nowo rozpocząć się.

W naszym klimacie najwięcej królowa niesie jaj z wiosną; wtedy w ciepłym dniu po kilkaset znieść ich może. Gdy budowa komórek idzie dobrze, często się zdarza, że zaraz nazajutrz po zainstalowaniu się w ulu królowa wychodzi incognito z niewielu małżonkami na gody weselne; skromne pszczoły obyczajają tak nakazują. Wtedy, okrążywszy ul kilkakrotnie, wzbija się w górę i ginie na czas jakiś w obłokach.

W pół godziny powróciwszy do ula, królowa staje się przedmiotem powszechnej uwagi wszystkich starań robotnic, które się cieszą w około niej i tworzą prawdziwie królewski orszak. Nie ma starań i usług, któreby jej przez podwładne rodaczki nie były czynione: Te się przybliżają z uszanowaniem i liżą jej ciało, inne ją cieszą, pieszczą, i z przymileniem podstawiają przysmaki pełne miodu.

W czterdzieści ośm godzin po powrocie z tej miłośnej wycieczki matka zaczyna nieść jajka w sposób wyżej wspomniany.

Zauważano, że najpierw królowa niesie jajka, z których wylęgnąć się mają robotnice, następnie na samce, a dopiero w końcu kilkanaście umieszcza w celkach królewskich dla utwierdzenia swej dynastji; lecz nie w jednym dniu wszystkie, tylko z przystankami po parę dni, ażeby się nie wszystkie w jednym dniu wylęgały, gdyż z tego powstaćby mogły niesnaski i walki o sukcesyą tronu.

Wiemy, jak wielką rolę odgrywa w ulu królowa, bez niej rój cały obejść się nie może; potężna, samowładna, jest główną sprężyną czynnego życia pszczoł. Duma jej nie pozwala podzielić się z kimkolwiek władzą; gdy się druga królowa urodzi, a stronnictwo jej zbyt jest silnem do pokonania, matka zbiera swoje wierne towarzyszki i uchodzi z miejsc, gdzie własne dzieci niewdzięcznością jej się odplacają, i taka to wyprawa nazywa się rojeniem.

Rozdział ten towarzystwa wykonują pszczoły nakszałt wiejskiego wesela, bardzo szumnie, z wielkim brzękiem; wyjście z ula zapowiadają żywym wylatywaniem,

wirowaniem w powietrzu i znowu wracaniem do ula; z początku w małej liczbie, potem coraz to więcej uwija ich się przed jego otworem. Widać z ich poruszeń niespokojność i wzburzenie w roju; nakoniec, jakby odebrawszy hasło do pochodu, najadłszy się ile tylko można na drogę, wysypują się wszystkimi otworami z wielkim pospiechem, unoszą po powietrzu tumanami, dopóki nie wyjdą wszystkie, co się na opuszczenie rodzinnego domu zgodziły, a zebrawszy się już razem, ruszają wesoło, i ledwo kilkanaście częstokroć kroków uleciawszy, siadają kłębem na gałęzi, na płocie lub innym przedmiocie.

Korzysta z tej chwili pszczolarz i w koszyk zgarnia, bo inaczej, niedługo posiedziawszy i jakby uradziwszy, w którą się stronę udać, opuszczają niezawodnie pasiekę i odlecają gdzie w komin, w szparę między mury, albo w wypruchniałe drzewo, a najczęściej do lasu, chociażby odległego. Tam, jeżeli natrafiają na przygotowane na ich przejście drzewo, osiedlają się i tworzą tak zwane barcie.



Zgartywanie roju.

Wróćmy się do legu naszych owadów. Jak już mówiłem, matka, po zniesieniu jaj, pielęgnowanie ich i dalsze wychowanie swych dziątek porucza pszczołom roboczym, a sama cofa się do swego pałacu, i tam nieruchoma, otoczona zapasem żywności, spoczywa po domowych trudach, będąc tylko odwiedzana przez robotnice, chcące się przekonać, czy jej na niczem nie zbywa. Zwiedzają one także z troskliwością i inne komórki dla przekonania się o dobrym stanie i zdrowiu noworodków. Papka, którą tym ostatnim za pokarm podają, jest biaława, wiele ma

podobieństwa do kleju z mąki. Zdaje się, że jest ona jakimś wyciągiem z pyłku kwiatowego, w żołądku karmicielek przerobionego. W miarę wzrostu gąsienic, ich pożywienie nabiera smaku więcej już do miodu podobnego, i zaczyna nawet być już cokolwiek kwaskowatym. Przypuścić ztąd należy, iż pszczoły umieją stopniować siłę pokarmów, ażeby powoli przyzwyczajać gąsienice do miodu, który im ma za dalszy posiłek służyć.

Wprzeciągu pięciu dni gąsiennice są już zupełnie rozwinięte, i po spożyciu przeznaczonej ilości papki nie potrzebują jej więcej, gdyż przemieniają się w poczwarki.

W tym czasie zamykają je pszczoły robocze przyłożeniem blaszki woskowej do otworu komórki. Zasklepiiona gąsienica okrywa się niby jedwabnym oprzędem, i w przeciągu trzech dni staje się poczwarką. Odtąd bezwładna przepędziwszy w tym stanie półosma dnia, odbywa wreszcie ostatnią przemianę, to jest wychodzi zupełną pszczołą roboczą. Samce dopiero dwudziestego pierwszego dnia po wyleżeniu zupełnego przeobrażenia dochodzą; samice zaś dnia trzynastego.

Zadziwiającym jest wpływ, jaki wywiera na rozwijanie się pszczoł jakoś pokarmu gąsiennicom podawanego. Dzięki przewidującej Opatrzności robotnice, te osobliwe mamki, mają dar wynajdywania pożywienia, którem żywiąc gąsienice, zamienić je mogą na pszczoły robocze lub matki.

To pożywienie taki ma wpływ na rozwój pszczoł, że gąsienice robotnic, znajdujących się w bliskości komórek królewskich, żywiąc się niekiedy odrobiną upuszczonej w przechodzie mamek papki królewskiej, po przejściu przemian zdolne są znosić jaja, z których jednakże tylko najpośledniejszy rodzaj pszczoł się wyradza, to jest same trutnie.

O sile pokarmu najlepiej przekonać się można wtedy, gdy rój utraci matkę; natenczas pszczoły robocze psują kilka zwyczajnych komórek, tworząc w ich miejsce królewską, i gąsienicy zwyczajnej, w niej się znajdującej, dostarczają karmu, jaki zwykł się dawać gąsienicy królewskiej, i tym sposobem stwarzają sobie nową monarchię.

Tak więc od karmicielek zależy pomnożyć lub zmniejszyć liczbę matek, lecz nie nadużywają swojej mocy, bo sumienność i miłość ogólnego dobra cechuje pszczoły, które nie chcą być powodem zatargów i walki w swojej rodzinie. O! bodajbyśmy biorąc pszczołki za wzór do naśladowania, starali się nawyknąć do pracy, zgody, miłości bratniej i tyłu szacownych przymiotów, którymi je szciodra obdarzyła natura, a które my ludzie pracą tylko i usilnością nabyć możemy.

WARSZAWA 1863 R.

Z. Kr....

Z D Z I S Ł A W.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Z OPOWIADANIA SKREŚLIŁ

WIKTOR B.

(DOKOŃCZENIE.)

Zostawszy sam i rzuciwszy czapkę na sprzęt jakiś, otworzył bióro, nacisnął ukrytą sprężynę; odsłoczyła zaporą, a po za nią okazało się kilka sporych skórzanych worków.

Wziął z nich jeden, rozwiązał, nachylił, a na zielone sukno bióra, z właściwym temu metalowi dźwiękiem, wysypała się spora garść złotych, nowych holenderskich dukatów. Pospiesznie i drżącą ręką odrachował z nich dwa razy po 50, resztę zgarnął, zsywał do worka, zawiązał, włożył na dawne i miejsce klapą zatrasnął.

Każde 50 dukatów zwinął w osobny rulon, potem dwa rulony zawinął w papier, obwiązał i położył pomiędzy dwoma na stole świecznikami.

Wszystko to trwało zaledwie minut kilka, tak się spieszył, tak czynem przeciwnym jakimś piekielnym podszeptom stanowczy chciał stawić opór.

Zdjął lisiurę i rzucił na stołek przy łóżku; staroświecki szafiasty zegar wybił drugą.

„Ah, jak późno! Zgaśmy świece, trzeba wstać rano“ i zbliżył się do świec, chcąc zadmuchać, ale niestety jarzące ich światło padało na rulon... z dukatami!

Nachyliwszy się do świecy, zatrzymał się w tej postawie, zobaczył rulon, potem wyprostował się, założył ręce na krzyż, patrzył, odwrócił się wreszcie od stołu, i chodzić zaczął po szerokiej komnacie, zrazu wolno, potem coraz prędzej, to znowu stawał w gęstych puklach włosów palce zanurzając, i znowu chodził potrącając o meble; za małą mu była komnata...

Zegar pół godziny uderzył.

Zatrzymał go ten ponury głos zegarowego dzwonka, słuchał aż przebrzmiał; na dziedzińcu poszczekują brytany,

a ze wsi słyhać trąbę stróża nocnego, gonty strzelają na dachu mrozem wysadzane.

Świece nieobcierane sterczą upalonymi knotami; przyćmione, rzeźbione belki pułapu cień okrył, zawisł nad portretami antenatów na ścianach wiszącymi, a wszystkie patrzą w tę stronę, gdzie w tej chwili usiadł ich potomek.

On sparty jedną ręką na stole, drugą w kieszeń łosiowych szarawar włożywszy, pochylił głowę na piersi, jakby drzémał. Lecz niebawem podniósł się i wziął rulon, powążył w rękę, „tyle złota—pomyślał— marnie stracone!“ powążył jeszcze i rzucił na stół, ale usiadł znowu, rękę do rulonu wyciągnął i w dłoni go obracał.

Mało było cichych myśli, zaczął już głośno z sobą rozmawiać.

„Sto dukatów! byłoby za to kilka fornalek, możnaby zbudować folwark na Łyskach, załowałem na to pieniądze; połową tego (i tu zważył rulon) opłaciłbym całoroczny podatek! drugą połową odnowiłbym kaplicę cmentarną, gdzie leżą ciała moich rodziców.“ Tu spojrzął na ścianę: stary konfederat, ojciec Zdzisława, z ręką pod bok, w karmazynowym kontuszu, wymalowany jak żywy, patrzy na syna, zdaje się, że się namarszczył, że nadał wąsami, a matka z złożoną książką do nabożeństwa w biały przybrana rubron, patrzy w malowany przed sobą krucyfiks, a po malowanych policzkach świętej matrony zdaje się łzy spływają, jak za życia, gdy modliła się za szczęście i powodzenie ukochanego Zdzisława.

„Ah! moi drodzy, ukochani rodzice, jakżeście dobrze znali syna waszego! marnotrawcę! karciarza! Używaliście wszelkich sposobów, aby mi dać poznać wartość ciężko przez was zapracowanego dostatku, oderwać od brudnej namiętności! Przysiągłem! nie dotrzymałem.“

Wstał i chodził. „Prawda strata wielka, lecz gdyby nie pułkownik? gdyby to kto inny? przegrałbym był wszystko! nienawistny los tasował karty na moję zgubę. Pułkownik uratował mnie i zbawienną dał naukę, zacny człowiek.“

Podszedł do okna i czoło do chłodnej przytulił szyby; za chwilę odstepił na krok, i patrzył het tam drogą ku miastu. Księżyc z wysokości firmamentu już dobrze się ku zachodowi nachylił, ale okrągłą tarczą świecił jeszcze mocniej. Wpatrzywszy się można było widzieć ostro rysujące się kontury zabudowań klasztornych, i wieże parafialnego kościoła.

„Ah! jak widno! — pomyślał — nogaby nie uszła, gdyby napadli Kozacy! ścigaliby do upadłego, zapaliliby miasto! Tak robią! Straszna, niesłychana wojna!“

Przeszedł się po izbie, a stanąwszy przed stołem, na którym ów nieszczęśliwy rulon pokuszenia leżał, dokończył myśli zaczętej.

„No jużcić, wtedy nie byłoby komu tego oddać, szukaj wiatrów po świecie, albo pułkownika wśród... trupów!“

Pomyślał o trupach, i straszno mu się w samotnej komnacie zrobiło, jak gdyby zapachło katafalkiem i kadzidłem kościelnym; pomyślał o nieboszczykach, a ojciec i matka niedawno pochowani, żywo przed nim stanęli, a kiedy spojrzął na ciemne ich portrety, kiedy się wpatrzył w ich twarze nasepione, zdawało mu się, że ojciec trzęsie wargami z gniewu i pogardy, a z oczu złowrogie błysło światło.

Oburącz uchwycił się za głowę.

„O Boże! cóż dzieje się ze mną? jakaż gryząca trucizna wjada się w moje serce? cóż za mętne, brudne, nikczemne myśli szarpią mą duszę? Cheiwość marnego złota, gdzież mnie prowadzi? Ah! gdybym miał żonę drogą, lubą życia towarzyszkę, gdybym miał dzieci, cel tego życia i starań pociechę! Wśród nich znalazłbym wszystko, teraz mam tylko złoto, a w duszy myśli niegodne mnie i was, kochani moi drodzy, ojczy i matko! Cóż tam myślicie o synu waszym tak srodze przed sobą samym upokorzonym?“

Ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

Naprzeciw niego w głębi alkowy stał wielki dębowy klęcznik, a nad nim w szerokich złotych ramach obraz, zsuwaną z ciężkiej matery zasłoną zakryty.

Przed obrazem wisiała srebrna lampa, świecąca dniem i nocą za życia jego matki, a od jej śmierci podsycana ręką starego sługi nie zagasła, przez różowe szkło mdłem rzucając światelkiem.

Na klęczniku leżała poduszka ręką jeszcze babki złotem haftowana, wyklęczana, a na pulpicie książka nabożna na grube srebrne spięta klamry.

Pamiętki to po matce cnotliwej, pobożnej, kochającej. Świeciła lampka, leżała książka do modlitwy, i było na czem zeprzeć w pokorze kolana.

Lecz zasłony obrazu, ręką matki zasuniętej, syn nie odsunął nigdy, zajęty gromadzeniem majątku, wśród materialnego szczęścia nie pomyślał o modlitwie.

Pyszenie rzeźbiony staroświecki klęcznik, i książka, której karty gorącymi łzami matki nie raz były skropione, martwym pozostały sprzętem.

Pierwszy raz przybity jakimś strachem przed samym sobą, zbliżył się do alkowy, pociągnął za sznur, a dwie połowy jedwabnej firanki rozeszły się i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej o ciemnej twarzy, z anielskim dobrocią, miłosierdzia i świętości majestatu wejrzaniem, okazał się wylektemu, upadłemu na duchu, zgnębionemu.

Przykląkł na oba kolana, głowę oparł na stopniu klęcznika, i płakał i modlił się głośno.

„O Matko bolesna, ukrzyżowanego Zbawiciela naszego! przyjmij mnie w świętą Twoją opiekę, natchnij dobrą myślą, abym w bojaźni bożej zarobić mógł na szacunek i przyjaźń ludzką. Zgubna namiętność, żądza niezaspokojona bogactw, cheiwość marnego kruszcza opanowała mnie i zaprowadzić może do zguby, do utraty czci

wszelkiej; zamiast miłości, zyskam pogardę, potępienie! — imię moje okryje hańba, duszę zatracę. Ratuj mnie o Matko, ucieczko biednych, pocieszycielko utrapionych, nadziejo nieszczęśliwych, ratuj i prowadź po drodze żywota, wesprzyj i upaść nie daj słabemu, nieszczęśliwemu!“ Jeszcze modlił się w cichości, złożone ręce wznosząc do obrazu.

Wreszcie splakany i zmęczony, nie zagasiwszy świec nawet, nierozebrany położył się na łóżko, i mocno zasnął.

Zegar wybił czwartą i już piątej domierzał, świece dymiąc słabym migotały płomieniem, tylko lampka w al-kowie, przed obrazem jak zawsze malutkiem, lecz jedno-stajnym świeciła światłem.

Zdzisław spał ciągle.

Na raz zdało mu się, że słyszy jakiś szelest; mocne szczekanie psów zbudziło go, podniósł się i usiadł na łóżku; niespokojny przeciera oczy, ale hałas na dziedzińcu coraz wyraźniejszy; słyszy jakieś głosy, zgiełk jakiś, brzęk i chodzenie, wreszcie skrzyp śniegu, jaki wydaje gromada idących ludzi lub stąpających koni; zrywa się, i dwoma krokami jest przy oknie.

„Kozacy! o Boże! cały pułk tego w dziedzińcu, rabować będą — pomyślał; porwał za rulon, aby go ukryć, a w tem oficer z kilku Kozakami w baranich na głowie czapkach, mocno szronem okrytych, z dobytymi szaszkami weszło do komnaty.

— „Wy haziain? (Pan gospodarz) — zapytał oficer.

— „Tak jest ja, panie“ — odrzekł zmieszany Zdzisław. — Rulon, który trzymał w ręku, przypomniał mu pułkownika; Kozacy stali przed nim, chmara ich była na dziedzińcu, konie ich chrapały, dzidy błyszczały.

„Cóż się stanie z rulonem? Ach! nieszczęśliwy od-dział — myślał — jeżeli ich znajdą? a jeżeli znajdą?“... Tu mocniej ścisnął w ręku rulon, sto dukatów zamieniło się w sto szatanów, i sto szeptów usłyszał naraz: „Zostalibyśmy z tobą.“ — „Ha stało się! przecież nie ja ich sprowadziłem.“

A w tem Kozacy, co od chwili przepatrywali komnaty, zebrali się znowu u drzwi.

— „U was niet Hrancuzów? — zapytał oficer zbliżając się do Zdzisława.

— „Nie panie, u mnie ich nie ma.“

— „Nic pan nie wiesz o ich pobycie w okolicy?“

Zdzisław chciał odpowiedzieć stanowczo, że nie wie, ale zmieszał się jeszcze więcej, zawahał; rulon centnarem złota w ręku mu zaważył, o mało nie wypadł; przytrzymał go mocniej i bełkotał coraz więcej zmieszany.

— „To jest... Francuzi... ja nie wiem gdzieby... ale... Nie mogąc znieść wzroku Kozaka, odwrócił głowę w stronę alkowy, gdzie obraz. O zgrozo! — pomyślał — cóż robię? Ale oficer pochwyił go za rękę z dukatami; usunął ją natychmiast chowając za siebie.

Oficer się nasrozył — „Panie, proszę powiedzieć; próżno ludzi gonić nie chcę, pan wiesz o Francuzach, pan się mieszasz. Skazytacie się czas!“ — krzyknął.

Stał w tej chwili tyłem do obrazu i portretów matki i ojca, a rulon niestety trzymał w ręku.

— „Oni?“ — i zatrzymał się.

— „Kuda oni?“ — wrzasnął Kozak; ale błąd jak trup Zdzisław już nie odpowiedział, tylko wskazał na okno, z którego widok na miasto. — „Tam w miasteczku“ — wyszeptał i stracił prawie przytomność; stał jak skamieniały, rulon upadł z bezwładnej ręki, głucho o dębową posadzkę uderzywszy, byłby i tego nie słyszał.

Dopiero z osłupienia i bezwładności wyrwał go donośny głos z dziedzińca oficera:

— „Na koń młodcy, w gorod, Hrancuzy tam.“ — Zdzisław poskoczył do okna, odzyskał przytomność, śledził ruchy tej hordy: z dziedzińca zawracali wolno, wyjeżdżali za bramę, ztamtąd nawoływali inny jakiś jeszcze oddział.

Załamiał ręce w rozpacz.

— „Konia co żywo! — zakrzyczał — konia dawajcie mi. Stary sługa wybiegł do stajni.

„Jeszcze czas! oni pójdą gościńcem, to mila cała! ja znanemi mi drożkami, lasem, o połowę bliżej wyprzedzę ich, wpadnę do miasteczka, do pułkownika, oddam dukaty i powiem: „Uciekajcie! jam was zdradził, jam wydał, ale niebezpieczeństwo podzielę, zginę z wami“. I to mówiąc podniósł rulon, wrzucił w kieszeń lisiury, porwał pistolety, zatknął za pas, wypadł na dwór, już na koniu, pędzi co koń wyskoczy.

Kozacy przyczaiwszy się na kulbakach, ruszyli szeroką drogą.

Pędzi Zdzisław, i z wyniosłości górzystego lasu widzi, jak Kozacy wywijają nahajkami, nagłąc zmęczone konie.

To dziwna! mało ich wyprzedził, choć koń jego świeży wyrwa z całej siły?

Ej! gdzie tam, wyprzedzają go Kozacy! Brzęczą kółka ostróg od gwałtownych w boki konia uderzeń; szarpie wędzidłem, koń już nie pędzi, ale rzuca się na oślep w szalonych szczupakach, przeskakuje po dwie i trzy kłody obalonego na drodze drzewa.

Zdzisław zmylił drogę! zawad coraz więcej! Gałęzie drzew biją go w twarz, czapka spadła mu z głowy, zaczepia włosami o smolne iglice, to nic! Jedzie dalej, widzi drożynę, ale przegradza ją rów głęboki, to ostatnia zawada; byle na drogę, już nie zabłądzi, a potem prosto do miasta dopędzi.

Zbiera konia nad rowem, zwał go ostrogami, koń dębem stanął jakby do skoku, ale zawrócił na miejscu, chrapał, kręcił się i... nie poszedł.

„O Boże! każda chwila jest drogą! przekłete zwierzę!“

Odsadził go o kilka kroków, ruszył z kopyta na oślep... ale rów od drogi zasypany był śniegiem; szalony

skok za mały był na tę szerokość, koń tylko przednimi nogami dopadł gruntu, i zwałił się z jeźdźcem w rów głęboki, potem porwał się nagle, usiłując stanąć na nogi. Zdzisław stojąc już na drodze, ciągnie go za cugle, nagli do powstania, ale koń obejrzawszy się na bok, jęknął, rzucił się raz jeszcze, upadł znowu i potoczył głowę na śniegu bezwładny—złamał nogę!

Nieszczęśliwy jeździec rzuca się pieszo ku miastu, bieży co tchu; już lasek się kończy, już jest w polu, jeszcze pół milki, a będzie w mieście.

Stanął, aby odetchnąć, ale na chwilę tylko, bo Kozacy wyprzedzili go o wiele, gdy błędził po lesie i borykał się z koniem; docierają do miasta, słychać wystrzały płacówek, a potem strzały coraz gęstsze, wściekłe „hura“, a nie długo ogień karabinowy jak świeczkami zaświecił, a potem hukiem doleciał do słuchu Zdzisława; bieży i bieży zjający, w mieście mordują! słychać dolatujące krzyki i coraz dziksze hura. Domy przy rogatkach palą się, a i wśród miasta słup ognisty szeroko wzbil się—to klasztor.

Słychać trzask walących się dachów, wiatr rzuca palącymi się gontami, i dzwonnica kościelna stoi w ogniu, i dach kościoła błyska płomykami; te płomyki łączą się, podskakują, chylą się, podnoszą, aż wiatrem w jeden kierunek zwrócone zajmują dach cały, sięgają ku wieży, masa dymu unosi się nad tem zmieszana z iskrami, pędzi w górę, rozpalając powietrze łuną czerwono-krwawą.

A z pośród tej mordu i pożaru pożogi jęki coraz okropniejsze. Straszno! ach straszno!

Zdzisław już w mieście, przeskakuje palące się zawały, jęczące trupy; dym ślepi go, ale bieży wprost do kwatery pułkownika.

Na drodze oficer z skrwawioną szaszką, opalony, osmolony zastępuje mu drogę. Zdzisław strzałem z pistoletu powala go na ziemię, drugim strzałem ubija innego Kozaka, wrywa mu szaszkę, tnie na prawo i na lewo; ucieka ta dzicz przerażona widokiem wściekłego, rąbiącego żelazną ręką. „Czort!“ krzyknęli i rzucili się gdzieś tam mordować bezbronnych.

Dom pułkownika jeszcze nie palił się, ale stał otworem, z powybijanymi oknami, z wyłamanymi drzwiami; obrona była rozpaczna, poległi wszyscy pod siłą przeważającą dziesięćkroć.

W izbie pułkownika leży ciało kilka, pakuły z wystrzelonych ładunków tlą się w różnych miejscach, krew strugami skrzepła na podłodze.

Zdzisław poznaje pułkownika: oddycha jeszcze choć

oczy w słup wywrócił; klęka przy nim, podnosi go, cuci; pułkownik białkami oczów zwrócił ku niemu, odetchnął, i zimną, trupa rękę na czole jego położył: „Ha! ty zdrajco!“

Zdzisław machinalnie tę rękę odrzucił, ale pułkownik jeszcze silniej lodowatą przycisnął czoło jego dłonią i upadł.

Rzucił się rozpacznym ruchem, aby wyrwać się z pod tej dłoni trupa... i... obudził się.

Bo to nie pułkownik, to był służący jego, co go budził, ręką czoła snem gorączkowym palającego dotykając.

— „Panie! kazał się pan budzić rano; konie gotowe, miał pan jechać do miasteczka.“

Zdzisław osłupiałym patrzył wzrokiem, potem usiadł na łóżku wodząc spojrzeniem w około, potem podniósł się, sparł obu rękami na ramionach starego sługi.

— „Więc to był sen tylko? — zawołał i ucałował go w oba policzki.—O Boże! o cudowna Matko Boska Częstochowska, wysłuchałaś modlitwy mojej!“—i poszedł ukłęknać przed obrazem.—„Dzięki ci, oh dzięki, święta Boża rodzicielko, polska królowo! dzięki za przestrozę, jaką we śnie odebrałem, korzystać z niej będę na resztę żywota mojego. Amen.“

Stary sługa wszedł z lisiurą, okrył nią pana, podał czapkę. Zdzisław wziął rulon leżący na stole, włożył w kieszeń, zapiął się skórzanym pasem, wyszedł na dwór, siadł na konia i ruszył kłusem.

Mróz nad ranem zelżał, drzewa szronem bogato się okryły, kitami do ziemi zwieszając, drobny śnieżek polatywał; zdawa widać klasztor i kościół parafialny, wznoszące swe wieże widoczne jakby zza tiulowej opony. Jakże pięknie w naturze i w duszy Zdzisława, jakże niepodobny dzień dzisiejszy do wczorajszego. Lubował się wszystkim, co go otaczało; koń parszkając kiwał głową, a niósł lekko, jakby się pysznił panem.

Już dobrze zadniało, gdy wjechał do miasteczka, i prosto na kwaterę pułkownika. Dopiero co powstawali, przywitali go serdecznie; dług oddał, zebrała się niebawem szlachta, i o dziwo, w twarzy Zdzisława znaleźli coś, co pociągało do niego, czego nie widzieli przedtem.

— „Przyjechałem was zaprosić wszystkich jak jesteście; oddziałowi droga wypada przez folwark, gdzie mieszkam, więc i oddział i was proszę.

— „Zgoda! jedziemy! tam ich pożegnamy.

Szczęśliwy Zdzisław! odmienił się, odrodził. To pierwszy dzień oczyszczenia; pozbył się namiętności, a został przy cnotach polskiego ziemianina.



SAMOTNY GRÓB.

PRZEZ

WŁODZ. WOLSKIEGO.

I.

ilku uniesień skrytych błyskawice
I w samo serce kul moskiewskich strzał —
Oto wspomnienia mego tajemnice,
Oto spuścizna, jaką-m tobie dał.
Choć tę spuściznę serce twe zatrzyma —
Lecz gdyś zdołała nasz namiętny ślub
Ukryć przed tyłu czujnymi oczyma —
Omijaj zdala mój samotny grób!

Ona dziś krwawszą okryta żałobą;
Ty nie dość czujesz jej męczeńskich prób —
O — zapłacz nad nią i zapłacz nad sobą,
A mijaj zdala mój samotny grób!

II.

Tak świetnej damie, na balowej sali,
W wykwintnym tłumie pływających par,
Nagle z mazura dźwiękiem się pożali
W duszy — wspomnienia namiętnego czar.
Marzące oczy rzęsami przyćmiła,
Gdy przed te oczy myśl jej wiedzie tuż:
Cmentarz, gdzie w rogu samotna mogiła,
Na niej krzyż czarny i krzak dzikich róż.

— Przypomnij sobie tę ostatnią naszą
Ognistą chwilę, raj promienny ten...
Niech dzikie róże mogiłę opaszą,
Niech mnie w niej cicho ojmie wieczny sen!
Lecz płaczem nie budź samotnego cienia,
Bo i pod ziemią usłyszę płacz twój —
Każda łza twoja w kroplę krwi się zmienia,
Aż z łez tych w trumnę krwawy bucha zdroj.
Bo w płaczu twoim ja zawsze słyszałem
Sierocy, straszny wszystkich niewiast jęk
Na naszej ziemi... a ja tak kochałem
Tę ziemię naszą — więc mi oszczędź męk!

W tem jej mąż, który na frak wdział ordery,
Na nos lornetkę, powagę na wzrok,
Na lice wyraz w pół dworski, w pół szczery,
Z grafem moskiewskim sunie się przez tłok.
Graf młody, piękny w błyszczącym mundurze,
Wymowne, długie spojrzenie jej szle —
A w tem spojrzeniu, jakby latem w chmurze,
I mgła tęsknoty... i namiętność w mgle.

Zadrgnęła dama... serce zabolalo,
Zgroza jak mrozem przebiegła je wskrós,
Łzy w gardle więzły, a coś jej szeptało,
W mazura dźwiękach żaliło się coś:
— Ona dziś krwawszą okryta żałobą;
Ty niedość czujesz jej męczeńskich prób —
O — zapłacz nad nią, i zapłacz nad sobą,
A mijaj zdala mój samotny grób!

Urywki z rękopismu J. Gordona p. t. „Gdy się było młodym.“

(Ciąg dalszy.)

Coż, gołąbku? Mąż twój pewnie wymaszerował na wojaczkę; nudziło ci się w chałupie; a nie chąc wypłakać ślepiąt po dotkliwej stracie, szukasz przy księżycu roztargnienia — nieprawdaz?

— Ani mi markotno — odpowie z przekąsem — anim łąz roniła po moim trzymiesięcznym tyranie, ale przeczytawszy skazkę: „Bitwa Ruskich z Kabardyńcami“, gdzie rycerze tak kochać umieją, nie mogłam patrzeć na niego. O! bo to głaz bez serca.

— Rozumiem! Każdy mąż, to tyran z powołania. I jakże ci duszko na imię?

— Na chrzcie dano mi imię Masza, a zowią mię zdrobniale: Maszynka.

— Otóż, moja Maszynko, opowiedz mi twoje frasunki i utrapienia; w jakim jesteś stosunku do twej rodziny? jakie masz widoki i zamysły? a obaczmy, w czem mógłbym ci być użytecznym. Uprzedzam, że wszystko wysłuchać i pojąć potrafię — zwłaszcza od ładnej kobiety.

— Ja tylko chcę, żebyś mię kochał... bo mnie nikt nie kocha... a tak żyć nie mogę — wyjąknęła, zakrywając sobie oczy.

Prędejbym się bomby spodziewał, niż tak nagłego oświadczenia.

Spojrzałem na nią i żal mi się zrobiło biednej — niedola łatwo zbliża ludzi do siebie.

Owa Kozaczka, walcząca w prostocie swojej z poczuciem obowiązku i pragnieniem budzącego się w niej serca; wychowana wśród ciemnoty, zabobonów i guseł; bijąca się w piersi z kornem czołem za schadzkę, którą za grzech uważała — a rozmarzona jedną nędzną ramotą, gdzie przecież znalazła, w braku innego, jakiś posiłek dla siebie — ileż to wszystko nasuwało studyów!

Dowiedziałem się, że miała tylko przy sobie matkę, jak większa część młodych wdów uralskich, na których uczucia miłosne car nie wydał jeszcze ukazu; że obie mieszkaly na „futorze“ (folwarku), odległym o kilkanaście

wiorst od miasta; że gdy mię przywieziono na dziedziniec koszarowy, sprzedawała tam właśnie przekupkom żołnierskim jesiotra, i że wtedy zaraz powiedziała sobie, iż poznać się z „nieszczastnym“ musi, skoro się tylko sposobność ku temu nadarzy.

Słowo „nieszczastny“ wymówiła z przyciskiem, uwydatniającym głębokie współczucie.

Tak więc obojeśmy się litowali nad sobą, chociaż nie z jednakich przyczyn.

Wywiedziawszy się od Maszynki o wszystkich rzeczach i niektórych innych — jak mawiał Pik z Mirandoli — uległszy jej prośbom: żeby tak nie „dumał“, lecz do niej coś zagadał, wpadłem w kaznodziejski zapamiętany; wiedząc zaś, że u ludu wyobraźnia bierze zwykle przewagę nad rozumem i sercem, począłem jej opowiadać sposobem obrazowym o dalekich krajach; o niebie; o gwiazdach; o cudach natury, osobliwości i sztuki, o jakich ani się kiedy śniło dobrodusznej Uralce.

Postanowiłem kształcić Maszynkę; przedstawiał mi się bowiem w perspektywie dotykany cel życia na pustyni, a widziałem przed sobą surowy wprawdzie, nieokrzesany, lecz też i nie zgangrenowany jeszcze błędami fałszywej cywilizacji, a jaśniejący bogactwem przyrody materyał.

Słuchała mię pilnie, zarzucając atoli od czasu do czasu nader charakterystycznymi pytaniami, zdradzającymi nieświadomość, przesady i uprzedzenia nieboraczki. I tak:

Czy Polacy są ochrzczonym narodem?

Czy Śty. Jan ewangelista ma najpierwszą rangę w szeregu świętych? i dlaczego ziomkowie moi dają się mordować w obronie równości, kiedy nawet trzydzieści tysięcy błogosławionych w niebiosach nie są sobie równi?

To mi sęk zadała! I co jej tu na to odpowiedzieć? Wierzyła nieboga, że ewangeliści stoją najbliżej tronu Bożego, za nimi inni ich kamraci, a na ostatku dopiero błogosławieni. Wiedziała wszystko! a nawet, jak tam umebłowane na tamtym świecie; gdy mnie, omylnemu

śmiertelnikowi, ani do głowy nie przyszło, aby Moskwa posiadała, oprócz wianka z miliona bagnetów, tak liczny zastęp świętych.

I jak tu powybijają te ówieki z czaszki naiwnej Kozaczki?

Tymczasem pytania swoim porządkiem szły dalej wzrastając, a mianowicie:

Czy „farmazon Hrancuz“ płaci zawsze za to, że się zbuntował, haracz carowi?

Pewneli to, iż nastąpi koniec świata, gdy się Chiny zbuntują? i czy rzeczywiście po za Chinami są zamorskie kraje, nie będące już własnością „gosudara“, gdzie się rodzą ludzie o jednym oku?

— Co u licha twój car, czy tam „gosudar“, tak się wszędzie zagospodarował! — zawołałem zniecierpliwiony.

Maszynka zmieniła nutę.

— Czy znając się — rzecze — na „kartinach“ (mapach geograficznych), mógłbyś za pomocą swych nauk rozemnać, gdzie są zakopane skarby?

— Ba! a jakże nie...

— Czy tym księżętom ziemskim, którzy się dobrze sprawują i nie pokazują hardości przeciwko starszym, „gosudar“ rozdaje korony?

— Znowu car?.. o! moja kochana, jak mię będziesz nudzić...

— Już nie będę, już nie będę! tylko nie gniewaj się miłuszka, bo widzisz... ja się tylko pytam.

Ta wiara Uralki, nienawidzącej żołdatów moskiewskich, a jednak ślepo wierzącej w potęgę niewidzialną, tajemniczą, nadludzką, mocarza rezydującego gdzieś na północy w ogromnym grodzie „z kamienia“, gdzie są pałace ze „złoconymi dachy“, i gdzie wody zamiast płynąć na dół, tryskają do góry „z gardzieli posłusznych smoków“; owa zaszczepiona za pośrednictwem straszliwej tradycji wiara w „białego cara“, niezwalczonego jak fatalizm, wielkiego jak świat, wszechmocniejszego od samego Stwórcy, boleśnie na mnie oddziaływała — i już zacząłem wątpić, czy ją oświecić zdołam, tę biedną kobietę.

Maszynka wierzyła także, że sławny herszt powstałej Kazaczyny, Pugaczew, nie był schwytyany i śmiercią ukarany, lecz że zawsze żyje (na złość chronologii), gdyż jest posiadaczem czarnych ksiąg i ma stosunki z duchami. Przechowuje się tylko w rozpadlinie jakiejś góry i czeka, aż grzechy rozmnożą się w „matuszce“ Moskwie; aż tam w pierwszą niedzielę postu zapalą woskowe świece zmieszane z łojem w cerkwi, gdzie popi przy liturgii wyklinają pamięć Pugaczewa — będzie to bowiem stosowna chwila do zemsty.

Co za mieszanina pojęć mieszczących groźbę okropną? co za mgły w słabej, niewieściej głowinie, przy gorącej wyobraźni wschodniej!

Maszynka miała cudownej urody siostrę o długich po kostki warkoczach. Otóż ta jej siostra umarła na cholere, sprowadzoną przez urzędników moskiewskich.

— Prawda! — zawołałem — oni ją i do Polski sprowadzili...

— Nieboszczyk mój ojciec — przerwie uradowana, że choć raz zgodziliśmy się na jedno — widział tę cholere. Nie wiem, czy ją znają Polacy? O! bo to chytra „swołocz“.

— A jakże ona wygląda?

— Toć wygląda!

— Przecież?

Tu Maszynka wyjaśniła rzecz dokładnie:

— Jestto—rzecze—mała, wychudła figurka, która rośnie w oka mgnieniu. Ot tak... kosteczki... kosteczki... i znikło! Osóbkę tę ów tylko może nosić schowaną w kieszeni, kto zawarł przymierze z „szajtanem“ albo z „antychrystem“, jak to zrobili „ruscy czynownicy“. Jeden z tych ichmościów, co tutaj przywłókł się na śledztwo, przywiózł ją z sobą, to też ludzie padali jak muchy — i moja najdroższa Saszyńka... Racz ją zbawić, Panie!...

Na tych i tym podobnych rozmowach noc nam spełzła. Potrzeba się było rozejść, zanim ranek zaświta. W porze letniej przybywa on na Wschodzie wkrótce po północy; a już kukuryki kogucie, rozłożone na dyszkanty i basy, w poddaszach wrzawę czyniły.

— Bądź zdrowa, Maszynko!

— Do widzenia „lubieznij“!

I rozstaliśmy się z sobą.

Wracając chyłkiem do koszar medytowałem: Co tu z nią zrobić?.. zagwożdżona łepeta, dźwigająca ciężar barbarzyństwa odwiecznego... przedzielona odemnie najmnie lat tysiącem! Z tem wszystkiem pokażna, gładka białogłowa, a jaka oryginalna!.. zawsze to coś lepszego, niż smaczne cygaro, albo kieliszek dobrego wina... choć i na tych zbywa tu człowiekowi... Tylko, że ona chce koniecznie miłości — bagatela! Wreszcie, któż się to dzisiaj kocha?.. oszalała ona.

Lecz znowu myślę: Gdyby też ją dla siebie zfanatyzować, iżby mi dopomogła do ucieczki... naprzykład, żeby mię wykradła... he! Wszak nie zły projekt? W najgorszym razie drapnęlibyśmy razem... Przywiózłbym ją z sobą do Paryża... w tym samym krasnym sarafanie, w którym ją poznałem. Doskonale! niech się choć diabli naśmieją, a Moskale nazłoszczą.

Mijały dni, tygodnie, nastala prześliczna jesień — ani słyhu o Maszynce! Przepadła jak błędny meteor, ni śladu po sobie nie zostawiwszy.

W każdy dzień świąteczny, gdy wyświeżone Uralki, strojne w różnobarwne sarafany, ujawszy się pod boki płaszały, niby ruchome grzędy kwieciste, na „polance“ oddzielającej koszary od miasta — kręciłem się tam w nadziei zoczenia Maszynki, lecz nadaremnie; zginęła gdzieś bez wieści.

I przykro mi było... tyle na jej pomoc rachowałem... z licznych planów ucieczki, trawiących mię bez końca, współka z Uralką, znającą wybornie okolicę, zdawała się być najpraktyczniejszym i wiodącym do celu pomysłem.

Ale cóż — kto zrobił plan, a nie ma środków do wykonania go, nic nie zrobił. Ze zniknięciem Maszynki wszystkie me mrzonki o wolności runęły jak domek, który z kart stawiają dzieci.

Otrzymany zawód tak przykre na mnie zrobił wrażenie, iż obawiałem się pomieszania zmysłów na myśli ucieczki; nawyknąć do „szynieli“ sołdackiej i do szponów moskiewskich było mi niepodobieństwem.

Ha! nie umiałeś się obejść należycie z Kozaczką, wadziłeś się z nią o przekłętogo cara zaraz na wstępie, przypisz więc sobie winę; nie ty ją, ale ona ciebie puściła w tr... skoro nie potrafiłeś korzystać z okoliczności, to i pokutuj za to!

Po tych wyrzutach czynionych samemu sobie, po tych walkach wewnętrznych chodziło teraz o to, aby rozpatrzywszy się w nowej dla się sytuacji, przebyć samemu ów step, mający jeden tylko szlak, utrzymywany na wojennej stopie przez straż graniczną, którego minąć piechotą i do tego z ostrzyżoną krótko czupryną nie można było; zboczenie zaś zagrażało zabłąkaniem się na pustyni i śmiercią głodową.

Gorzki uśmiech, głucha boleść i zamiary przerażające, szalone, wstrząsnęły gwałtownie mojem jestestwem i podkopały zdrowie; bo coraz więcej zawał do spełnienia przedsięwzięcia napotykałem.

Postanowiłem wytruć, jak szczurów, cały batalion Moskali, i gdy się za brzuchy chwytać zaczną, powie dzieć im: Ja to sprawiłem!

W rozpaczliwym wtedy duch mój znajdował się narostroju i mózg był strudzony drganiami.

Tymczasem nadeszła zima i okryła step grubym, białym całunem, po którym ucieczka jeszcze trudniejszą by się stawała.

Aliści jakiś rekrut podchodzi do mnie z poszeptem, abym się udał za ścianę prawego skrzydła maneżu.

Pewnie ktoś czeka z kolegów... więc biegnę!

Lecz wśród zmroku niknącego wieczora postrzegam tam sanki z niewyraźną postacią we środku. Zbliżam się do niej, przypatruję, i dwa stłumione ach! wrywają się z piersi naszych.

— Sadis i dierżis! (Siadaj i trzymaj się!)—krzyknie Maszynka wesoło.

To czysty dar boży na moję pociechę... jakaż niespodzianka!.. Nie tracąc czasu, wskakuję do sanek. Maszynka świsnęła, konie zadrzały, parsknęły i uniosły nas cwałem.

Nie przypuszczałem, abym taką miał z niej dzielną amazonkę.

— Już myślałem, że cię więcej nie obaczę — rzecze pieszczotliwie — a tyś może i nie wspomniał nawet o twojej Maszynce.

— Co tobie się stało „duszynko?“

— Chorowałam.

— Jakto? od tak dawnego czasu?..

— Nie zewszystkiem. Przyszedłszy nieco do siebie, wyjeżdżałam na rybołówstwo... aleś mi ciągle stał przed oczyma... to też i jestem!

— Dziękuję ci, serce! Powiedz, czy pojechałabyś zemną do Polski?.. tylko szczerze.

— Hm... do Polski... a cóż?.. gdybyś mię bardzo kochała...

— A do Francji?

— Za nic w świecie.

— Dla czegoż to?

— Bo Hrancuz nie ochrzczony naród.

Konie skrećły na „polankę“. Maszynka potoczyła wzrokiem, napinając go w niektóre punkta jakby w celu zbadania, czy nam nie grozi jakie nieszczęście na owym placu, gdzie tylko nieprzyjaciele różnych wyznań z sobą się spotykają.

Potem wychyliła się z sanek i znowu świsnęła. Kawały śniegu zlodowaciałego pierzchnęły z pod kopyt dziarskich biegunów, i sunęliśmy się szybko, niby cienie zakłete.

Już, już, dopadaliśmy miasta, gdy w tem spostrzegamy, że coś czarnego zdąża po śniegu ku nam. Wpatruję się i nie mogę rozeznąć przedmiotu.

Pikieta! pikieta!—wrzasnęła Maszynka, rozpuściwszy knut po nad grzbiety końskie, a bystre rumaki, jak na skinienie różczki czarodzieja, skoczyły galopem.

W samej rzeczy, straż kozacza obaczywszy kogoś śmigającego od strony koszar, powzięła zazdrośne podejrzenie, i hejże nas ściagać z boku; biegła, póki mogła, aleśmy ją wyprzedzili.

Wkraczamy do najbliższej ulicy — trzebaż atoli zdarzenia, że jedna ze szkap pośliznąwszy się na lodzie wykręca nogę i pada na drodze!

Nie ma czasu jej podnieść; dreszcze mię przeszły z obawy, co to dalej będzie?

Ale amazonka się nie zraża, lecz rzuca się z sanek ze zręcznością pantery, dobywa noża i odcina od zaprzęgu upadłego kalekę; sama zaś widząc, że pikieta tuż... tuż za plecami, robi znak krzyża św. i z wysileniem pogania kasztanka jedynaka.

Tym sposobem zemknęliśmy przecież pośród ciemności

w zaułkach zbudowanego w szachownicę mieściska. Napastnicy zostali daleko w tyle.

Odetchnęliśmy swobodniej.

Bo też nie lada niebezpieczeństwo wisało nad obojgiem na wypadek pojmania przez hajdamaczną, a której nie mielibyśmy na razie czem się okupić.

Staćby się mogło, iż dawnym zwyczajem miejscowym zawiązanego w worek wrzuconoby mię do przerebli na rzece — rybom na pastwę, mej zaś współniczce pomazano głowę smołą, na hańbę wieczystą.

Maszynka zatrzymała się przed bramą nieznanego mi, schludnego domku, gdzie do okiennicy zapukała prędko trzy razy — potem nastąpiły dwa powolne, miarowe stuknięcia.

Na taki znak dopiero otworzono nam — dwie wysmukłe mołodyce ukazały się w progu — jedna z nich wzięła lejce od koleżanki, druga wprowadziła nas do izby.

Począłem się rozglądać.

VI.

CHATA MOŁODYCY I HURAGAN NA PUSTYNI.

Step gdy zawyje świstem huragonów,
Biada oczom — śmierć się w koło szerzy; —
Zasypie niwy potokiem tumanów,
W zniszczeniu szal swój uśmierzy.

Izba na pierwszy rzut oka przedstawiała wnętrze świeżo zrobionej szkatułki: podłoga w niej bowiem, sufit i ściany były jednakowe, gładkie, wyheblowane i tak czyste, że rysowały się na nich słoje drzewa, z którego dom zbudowano.

Takież stały ławki przy ścianach, tudzież prostej roboty stół, z za którego wyglądał szereg siedzących Kozaczek, każda w rażącej barwie. Można tam było widzieć i biały jedwabny sarafan ze złotymi galonami, i czarny ze srebrnymi, i niebieski, ale kolor czerwony przeważał.

Twarzyczki tych dam były pulchne i ręce delikatne, nie przywykłe do pracy. Ryby bowiem i kawior z Uralu — po którym mi dotąd smak w gębie pozostał — a którym mężowie owych pań handel z całym światem prowadzą, wystarczają na ich łatwe utrzymanie, a nawet na zbytki, jak n. p. na ciężkie materye, sprowadzane z sąsiedniej Buchary, któremi swe wdzięki przystrajają. Pozbawione jedwabiu, uważałyby się za najnieszczęśliwsze istoty.

Pokazuje się, że kobiety na całej kuli ziemskiej są do siebie podobne: nic nie jest dla nich potrzebniejszego nad to, co zbyteczne.

Na stole leżały małe organki, a w rozstawione czasie nasypiano orzechów. Kozaczki bowiem lubią łupać je i przygrywać razem; słowem, lubią się bawić, pohulać sobie, gdyż natura ich nie cierpi czczości.

Skłoniłem im się na wstępie, ale śnać nie zrozumiały mojej grzeczności. Nie znaleźmy wzajemnie naszej etykiety. I nic dziwnego: co kraj, to obyczaj!

Bo i otóż Maszynka podstąpiła do ścian, zawieszonych mnóstwem różnej wielkości w srebrnych ramach obrazów, przed którymi gorzały cienkie woskowe świeczki.

Maszynka kłania się owym czczonym wizerunkom i żegna kilkakrotnie, ale tak szybko, jak gdyby muchy

z siebie oganiała. Stoję za nią i patrzę, nie wiedząc, co mam począć? Nie uznałem za stosowne, wreszcie nie umiałem tak się żegnać jak ona.

Zauważyłem tylko, że święci byli poubierani w szaty z wytłaczanej srebrnej blachy, a ręce i twarze mieli oliwkowe. I rzekłem sobie: Na drzewie umęczon boski nasz Prawodawca! A to sreberko, to może przetopione ze świeczników zrabowanych u nas dworów i świątyń, lub z polskich złotych porozbijanych poczt po gościńcach!

Maszynka po skończeniu dopiero swojego obrzędu pozdrowiła grono rodaczek i kazała mi mi usiąść przy ogólnym stole, a sama zajęła przy mnie miejsce. Wniósłem ztąd, że miała w chacie wielkie wzięcie i powagę. Są osobistości, które z natury swojej panują nad innemi. Do tych należała Masza.

— Czy nie jesteś przypadkiem trubocznik (fajczarz)? zagadnie ni z tego ni z owego błękitny sarafan.

Moja wierna towarzyszka trąciła mię mogą.

— Nikak niets! odpowiedziałem.

I dobrzem zrobił, żem się wyparł tytoniu, gdyż Uralki zowią go czartowską trawą, i gotowe uciec z izby, gdybym im oznajmił, że lubię czasami puszczać sobie dym z komina moich usteczek. Zbliżają się one pod tym względem podobieństwem do Amerykanek z Filadelfii.

Wtem przyniesiono na stół ogromny miedziany samowar i rozdano z chińskiej porcelany filiżaneczki, cienkie jak papier, a kształtem podobne do kubków.

Zwyczaj nakazywał, abym w tej okoliczności posłał z mej strony po wódziunię, co też uczynić nie zaniedbałem. Kozaczki bowiem nie gardzą truneczkiem.

Tymczasem gawędka szła wesoło, przerywana śmiechem; samowar zaczął mrużyć po swojemu, obiecując nam herbatę — a chata przybrała postać niedzielną.

Bo trzeba wiedzieć, że we wszech Moskwie każdy, bogaty czy biedny, muzyk czy dworianin, pop czy oficer, ma pewien rodzaj szacunku, więcej jak szacunku, dla swego samowara. To jedno uczucie łączy tam wrogie sobie warstwy społeczeństwa. Dziedzic sprzedałby był za

samowar swego poddanego, ten zaś oddałby wszystkich dziedziców za owe ulubione naczynie, rozweselające go w jego ubóstwie.

W Rosyi samowar jestto klejnot domowy. Błyszczą on w oknie u każdego niemal włościanina. Chcąc tam wywołać między chłopstwem i mieszczaństwem rewolucyą, dosyć jest zakazać im używania samowarów.

Przy samowarze zawiązują się zwykle bliższe znajomości; jejmość gospodyni domu ma sposobność popisania się ze swą zręcznością, ze swemi zaokrąglonemi zalotnie ruchy, i swą uprzejmością dla gościa; przy samowarze odbywają się swaty, prowadzą interesa handlowe, i t. d.

Bądź co bądź, zrażonemu do zapowietrzonych koszar, miło mi na ten raz było pośród kumoszek kozacych, przy owym syczącym samowarze. Wszystko mię u nich zajmowało, nie wyłączając nawet koguta, stąpającego poważnie w żółtych ostrogach po pokoju — wszystko to bowiem miało coś familijnego w sobie, a od czego surowe reguły żywota na sołdacki sposób odzwyczaiły mię były.

Popijając herbatkę z Maszynką, czułem się taki swobodny! Samotnikowi przyjemnie jest mieć, choćby kawałek kobiety przy sobie, choćby usłyszeć szelest jej sukienki. Pokazuje się, że natura ludzka ma swoje niewzruszone prawa, niechaj co chcą mówią starzy kawalerowie!.. Rozumie się, że ja nie mam nic z nimi wspólnego. A kysz! a kysz!

Od Maszynki nauczyłem się pić „czaj“ tak jak ona, w tak zwaną przekąskę, jak go pijają pospolicie wszystkie stany w Moskwie — z wyjątkiem arystokracji; to jest: trzymając w zębach kawałek cukru, przepuszczając przezeń do gardła nieosłodzoną herbatę ze spodka od filiżanki, opartego dnem na trzech palcach.

— Czy i was tam w Polsce jedzą gołębie? — zagadnie

mię znowu niesforny sarafan, jak gdyby coś cierpiał do mnie.

O małym się nie zakrzusił, wyplułem cukier i:

— Nikak niets! — wyjąknąłem, będąc uprzedzony, że starowiercy poczytują gołębie za duchów świętych, których zjadać nie wolno.

Potem trąciliśmy kieliszkami, i podochocone Kozaczki zaśpiewały chórem swoją ulubioną pieśń narodową:

„Za Urałom, za riekoi,
Kozaki hulajut
I żywut bohato,
I żywut bohato!“

Przy pożegnaniu zaś zanuciły krotofilną zwrotkę fantazyi moskiewskiej:

„Jechaw czyżyk w łodoczkie w generalskim czynie,
Wypijem my wodoczki po etoj przyczynie!“
(Jechał czyżyk w Łódce, w jeneralskiej miny,
Napijemy się wódki z tej ważnej przyczyny!)

I znowu trąciły kieliszkami.

Już byłem na ulicy, zdążając do koszar, aby się nie dostać do kozy za spóźnione nadciągnięcie po przebicie capstrzyku, a jeszcze zalaływały mię wiersze z akompaniamentem organków:

„Czumadan, czumadan,
Komu chozczu, serdce dam!
Hi, hi, hi! — ha, ha, ha!...“

Śnać się mołodyce ululały.

Zapomniałem dodać, iż przed rozpoczęciem skromnej bachanalii nie zaniedbały one pogasić świeczek przed bożyszczami i pozasłaniać im oczów.

*

*

*

ZAKŁADY ZDROJOWO-KĄPIELNE W GALICYI.

VI.

R A B K A.



Na wschód uroczego naszego Beskidu, o 8 mil od Krakowa, w dawniejszym obwodzie wadowickim, w szczególności zaś w powiecie jordanowskim, leży rozległa wieś Rabka, do 100 mieszkańców licząca, własność Wgo. Juliana Zubrzyckiego. Na polach tej wsi, niespełna ćwierć mili od tutejszego kościoła parafialnego, znajduje się pięć zdrojów słonych, od niepamiętnych czasów znanych i używanych; od r. zaś 1864 powstał tu zakład zdrojowo-kąpielny.

Samo nazwisko sąsiedniej tutejszej wsi Słone, lub potoczku Słonka, przekonywa o naturze miejscowych źródeł, z których już w XIII. wieku korzystał bogaty klasztor Cystersów w Szczyrzycu, w moc przywileju Bolesława Wstydlivego z r. 1254, potwierdzającego posiadłości wspomnianego klasztoru, o czym Długosz w swej księdze „*Liber Beneficiorum*“ wspomina wyraźnie mówiąc: „*Sal in Rabka*“ tj. warzelnie soli w Rabce. Trudno dzisiaj orzekać, jakie było w tamtych czasach powodzenie tutejszego górniczo-warzelnego przemysłu; wszakże w r. 1568 Jerzy Grossman, mieszczanin oświęcimski, zwrócił swą uwagę na ważność źródeł słonych w Rabce, a użytkawszy przywilej od Zygmunta Augusta, 19. czerwca 1568

r. w Grodnie wydany, na kopanie kruszców w górach między Rabką a Słoną, zawiązał towarzystwo gwarek (akcyonaryuszów górniczych), obok warzelnicy soli w Rabce rozpoczął także roboty górnicze, których jednak niebawem dla braku funduszy zaprzestał. Prowadzone tutaj dalej z różnym powodzeniem przez innych gwarek roboty górnicze pozostawiły po sobie głębokie szyby, z których zasilano wodą słoną długo tutaj istniejącą warzelnię soli, później zupełnie zaniechaną. Jednak lud okoliczny przechował we wdzięcznej pamięci tutejsze słone źródła i nie poprzestał z nich korzystać nietylko do czasów zajęcia Galicji w r. 1772, ale nawet przez późniejsze lata aż do r. 1813, w którymto czasie z rozkazu rządu pomienione źródła dla ich stłumienia zawałono kamieniami, ziemią i chrustem. Miało się to stać w skutek doniesienia jakiegoś lekarza, przybyłego do Rabki w zamiarze szczepienia ospy, który uderzony cizbą ludu około jednego z powyżej wymienionych źródeł, zbierającego w naczynia tutejszą wodę słoną, gdy na zapytanie dlaczego się tam lud ciśnie, odebrał odpowiedź, iż tam jest „wielki skarb, bo woda słona“, zrobił z tego, jak mówią, urzędowy użytek, i odtąd owe źródła nietylko zawałone zostały, ale nadto czuwano nad nimi ze strony ek. straży skarbowej, iżby nikt z tutejszej wody nie korzystał.

W takim stanie zupełnego stłumienia źródeł słonych w Rabce i strzeżenia ich znajdowały się takowe do roku 1858.

Mimo iż prawie od pół wieku wyszła woda tutejsza z domowego użycia, a tem bardziej iż i do celów lekarskich zbyt mało pod owe czasy zastosowaną bywała, przecież jej dobroczynne skutki i pożytek nie wyszły z pamięci ludu okolicznego.

Gdy wiadomość o źródłach w Rabce doszła do komisji balneologicznej, postanowiła ona na posiedzeniu swem, w dniu 28 marca 1858 odbytem, zbadać ów skarb dobroczynnej naszej ziemi i zrobić go przedmiotem nauki, z pożytkiem dla cierpiących, a korzyścią gospodarstwa krajowego. Uzyskawszy pozwolenie od c. k. dyrekcji skarbu do bodaj chwilowego odkrycia źródeł w Rabce, powierzyła komisja balneologiczna czynność tę i ocenienie tutejszych źródeł prof. dr. Skoblowi, który w d. 22 sierpnia 1858 r. chlubnie wywiązał się ze swego zadania, zbadawszy na miejscu w Rabce owe źródła w towarzystwie dr. Zdunia i miejscowego proboszcza ks. Kasprowicza, tudzież w asystencji komisarza c. k. straży skarbowej pana Fleischmanna.

Owocem pracy pr. Skobla jest pierwszy umiejętny opis tychże źródeł w „Rocznikach Towarzystwa Naukowego krakowskiego“ (t. XXVI r. 1859) zamieszczony, tudzież następujące jego wnioski, przez komisją balneologiczną w zupełności przyjęte:

1) iż zgodnie z doświadczeniem miejscowego ludu,

co i rozbiór chemiczny w zupełności potwierdza, źródła rabczańskie są wodami lekarskimi;

2) iż na zasadzie rozbioru chemicznego należy je policzyć do wód słonych jodo-bromowych;

3) iż ze względu na obfitość źródeł, tudzież na odpowiednie a sprzyjające dla zdrowia położenie tutejszej miejscowości, założony tutaj zakład zdrojowo-kąpielny byłby dla chorych wielkiem dobrodziejstwem, z nadzieją nie małych korzyści dla przyszłego ich właściciela;

4) iżby należało, aby komisja balneologiczna wyjednała u władz rządowych pozwolenie stanowczego odkrycia tutejszych źródeł dla ich zupełnego zbadania i naukowego ocenienia pod względem hydrochemicznym i balneoterapeutycznym, i użytkowania ich dla cierpiących.

W skutek tego komisja balneologiczna podała prośbę do władz rządowych o dozwolenie stanowczego odkopania źródeł rabczańskich, do wyłączenia ich z pod monopolu jako wód słonych, i oddania takowych na użytek zdrojolecznicy. Równocześnie zawiadomiono o tym kroku dziedzica Rabki, aby i on sprawę tę popierał.

Jednak ministerstwo skarbu, nie polegając na opinii komisji balneologicznej krakowskiej, poleciło nadesłanie sobie drogą urzędową wody rabczańskiej, oddając takową do zbadania akademii wiedeńskiej. Zdaje się, iż zdanie akademii wiedeńskiej musiało się zgadzać z orzeczeniem komisji balneologicznej krakowskiej, albowiem ministerstwo skarbu na mocy swego rozporządzenia z d. 18 sierpnia 1861 r. dało dziedzicowi Rabki pozwolenie użytkowania wspomnianych źródeł w celach lekarskich, a w szczególności dla założenia tu zakładu zdrojowo-kąpielnego.

Usiłowaniami przeto komisji balneologicznej krakowskiej zawdzięcza kraj wyswobodzenie z pod monopolu rządowego źródeł słonych w Rabce; a niezmordowanej przedsiębiorczości, niemałym nakładom i rzetelnie obywatelskim trudom W. Juljana Zubrzyckiego, dziedzica Rabki, winni jesteśmy, iż na miejscu, gdzie wokoło zaledwie liche plony zboża i sącące się źródła słone były, w dwóch latach powstał zakład zdrojowo-kąpielny i już w r. 1864 po raz pierwszy do użytku publicznego został oddany. To przeto, co dobroczynna przyroda dla wyższych humanitarnych i medycznych celów użyczyła, to, co przeznaczone dla pożytku i korzyści, uzdrawiać i wzbogacać miało, przez długich 50 lat przyduszone przemocą, bez żadnego użytku, a raczej szkodę zrzadzając, odłogiem leżało—wróciło napowrót ku swemu rzetelnemu i właściwemu przeznaczeniu, a wróciło za pomocą nauki, pracy i nakładu!

Z kolei poznajmy najświeższy ze wszystkich krajowych zakładów, zakład zdrojowo-kąpielny w Rabce.

I. Pięć tutejszych źródeł słonych, a mianowicie:

a) Zdrój Rafaeli, od góry kamienną, spodem zaś drewnianą cembrzyną ujęty, 16 stóp wied. głębokości ma-

jący, dostarcza wraz z innymi tutejszymi źródłami wody mineralnej słono-jodo-bromowej.

b) W odległości 7 sążni od poprzedniego źródła jest drugi zdrój Maryi, 34 stóp wied. głęboki, w cembrzyne drewnianą ujęty.

Oba poprzednie źródła nietylko wypełniają ich głębokie i bardzo obszerne studnie, ale nawet woda ich wznosi się nad poziom i dobrowolnie odpływa do zbiorników tu urządzonych.

c) W oddaleniu 37 sążni od źródła Maryi jest trzecie tutejsze źródło Krakusa, drzewem ocembrowane, przeszło 16 stóp wied. głębokie, którego jednak woda dobrowolnie nie odpływa.

d) Jest tu jeszcze czwarty zdrój Kazimierza i e) piąty imieniem Heleny ochrzczoney.

Zbierająca się w tych studniach woda jest bezbarwną i przezroczystą, smaku mocno słonego nieco gorzkiego, słabej woni, przypominającej zapach oleju skalnego, bo też na powierzchni wody w studniach, w ciągłym poruszeniu będącej, znajduje się mnóstwo bąbelków gazowych, będących gazem bagiennym, które za zbliżeniem do nich płomienia zapalają się. Temperatura powyżej wymienionych źródeł jest +6, 8° do +7, 6°R. Obfitość wody, jakiej źródła wyżej wymienione dostarczają, w ogóle jest wielka, wszelako z powodu, iż nie wszystkie mają otwory odpływowe zewnętrzne uregulowane, a nie były dotąd do dna wypompowane, matematycznie obliczoną nie została.

Wszystkie tutejsze źródła są pod dachem, a okalająca je przestrzeń do spacerów jest urządzoną.

Najgłówniejszymi częściami składowymi tutejszych wód są: sól kuchenna, czyli chlorek potassu, tudzież jodek sodu i bromek jodu; są to przeto solanki jod i brom zawierające, ze skąpą ilością gazu węglowego wolnego. Do picia na miejscu i do rozsyłki w handel używają tu źródeł Rafaela i Maryi; reszta innych źródeł przeważnie na kąpiele jest użytkowana.

Z porównania wód rabczańskich (zawierających w 1 funcie wody 187—189 gran stałych składników) z naj słynniejszymi w Europie solankami, jakich dostarczają: Hall mająca 120 granów, lub Kreuznach zawierająca 94 granów tychże składników, najwidoczniej się okazuje, iż wody rabczańskie nietylko ogólną ilością tychże składników je przewyższają, ale nawet pod względem ilości jodu i bromu źródła rabczańskie nie ustępują bynajmniej solance halskiej lub kreuznachskiej, o czem z rozbiórki źródeł rabczańskich, przez A. Aleksandrowicza w roku 1863 dokonanej, najwidoczniej przekonać się możemy.

Mamy przeto dzięki Opatrzności na naszej ziemi solanki nietylko dorównyujące, ale nawet przewyższające naj słynniejsze wody słone europejskie; mamy solanki, jakich mogłyby nam pozazdrościć inne kraje, gdybyśmy tylko co rychlej umiejętnem ich użytkowaniem, a odpo-

wiedniem urządzeniem naszego zakładu, tamtejszym zdrowiskom sprostać umieli i zdołali.

II. W niewielkiem oddaleniu od źródeł, znajdują się tutaj łaźienki. Jestto gmach piętrowy, na dole 20 pokojów łaźiebnych, a na piętrze 30 pomieszczeń mieszczący, oprócz kancelaryi i sali spoczynkowej, a umiarkowana cena kąpiele (40 ct.) przechodzi wszelkie oczekiwanie, uwzględniając wielki nakład na urządzenie tutejszych łaźienek.

Zakład tutejszy w kilku latach wystawił już 7 nowych domów mieszkalnych, obejmujących 132 pokojów gościnnych. Jakkolwiek skromna zewnętrzna postać tutejszych budynków nie razi oka estetycznymi ich formami, ani nie rywalizuje ze wspaniałymi budynkami zagranicznych zdrojowisk, wszakże ceny przystępne tutejszych pomieszczeń (po 12, 15, 20 itd. zlr. na miesiąc) odpowiadają zupełnie ich wygodnemu, wewnętrznemu umeblowaniu, dając świadectwo rządnej gospodarności tutejszej. Wszakże zważywszy czteroletnie dopiero istnienie tutejszego zakładu i ciężkie brzemię, jakie w zupełności dźwiga dobra wola właściciela, ponoszącego w jednej osobie wszelkie nakłady na to wszystko, co tylko zakład zdrojowy powstający wymaga, podziwiać przychodzi niczem nie zrażające się a najlepsze jego usiłowania, którym na teraz wielkiej wyrozumiałości i uwzględnienia nikt z rozsądnych odmówić nie powinien.

Jednem słowem, dzięki poczuciu i poświęceniu obywatelskiemu, jakie dzisiejszy twórca zakładu w Rabce okazał, położono tutaj trwałe fundamenta dla zakładu zdrojowego, którego dalszy rozwój od współczucia i opieki ogólnokrajowej, a wreszcie od biegu czasu i sprzyjających okoliczności zależy.

IV. Restauracya tutejsza jakkolwiek jedyna, a więc bez wyboru, dostarcza po przystępnych cenach, bo za 12, 15, 18, a najwyżej za 20 zł. stół miesięczny dla gości zdrojowych.

Ubogim jest dotąd tutejszy zakład w rozrywki i przyjemności miejscowe, bo też zaledwo do życia będąc powołanym, nie o przyjemnościach, nie o zabawach, tem mniej o wykwintności lub o zbytkach, ale o najpierwszych potrzebach i o niezbędnej wygodzie, jaka się w każdym zakładzie zdrojowo-kąpielnym jego gościom jako chorym należy, musiał wprzód myśleć i takowe zaspokoić, i to też było istotnem i wyłącznym jego zadaniem. Mimo to jest tutaj czytelnia książek i gazet, są dogodne chodniki do przechadzki, są spacerki w pobliskim przy samym zakładzie lasku, znajdują się tutaj schludne do wypoczynku altanki, jest i fortepian dla gości do użycia pozostawiony, a więc nie brak zupełny umysłowych rozrywek.

Wszakże dobre ze wszech stron do Rabki gościńce, łatwość komunikacji za pomocą wozu pocztowego codziennie z Krakowa tutaj odchodzącego, a w przyszłości i nadzieja bliskiej kolei żelaznej tak zwanej tatrzańskiej, obok

zbawiennych skutków wody rabczańskiej, rokuje świetny los dla tutejszego zakładu.

Dla okazania ruchu i wzmagającego się z każdym rokiem uczęszczania do tutejszego zakładu przytaczamy:

iz w r. 1864	bawiło osób 120,	wzięło kąpiele 2040
„ 1865	„ 109,	„ „ 2071
„ 1866	„ 129,	„ „ 2512
„ 1867	„ 155,	„ „ 2788
„ 1868	„ 178,	„ „ 3686
„ 1869	„ 263,	„ „ 4231

Jak w ogóle o działalności leczniczej wód słonych, tak i o zdrojach rabczańskich powiedzieć możemy, iż do zakresu ich leczniczego należą:

a) Przerosty i powiększenia nieprawidłowe rozlicznych organów, jako to gruczoły na szyi, pospolicie wólem nazywane, tudzież wypociny (exsudata), w jakiejś tkance organicznej powstałe, jako skutek poprzedniego zapalenia.

b) Żołyzy czyli skrofule, chociażby cierpienia tego rodzaju do bardzo ciężkich należały, stanowczo w Rabce wyleczone być mogą.

c) Obrzmienia i stwardnienia rozlicznych gruczołów tudzież tak zwane stwardnienie wątroby albo śledziony, po zimnicach (febrach) nierzadko pozostające.

d) Rozliczne cierpienia samym tylko niewiastom właściwe.

e) Nakoniec opuchnienia i stężalości w wstawach

po dnie (artritis) powstałe, a nawet oskorupienia chrząstek z tegoż cierpienia pochodzące, znaleźć mogą błogosławioną skuteczność w wodzie rabczańskiej wobec znakomitej ilości jej składników, jako to: chlorku sodu i węglanu sodowego, tudzież węglanu litowego, tego najdzielniejszego środka przeciw dnie, dla którego w najnowszych czasach całą skuteczność przypisują zdrojom litowym w Weilbach i źródłu Murquelle (Baden-Baden) najnowsi tegoż cześni lekarze.

Tak więc posiada nasz kraj nowo-powstały zakład zdrojowo-kąpielny w Rabce, który zaleca skuteczność wód, racjonalnie założone i już gotowe urządzenia, wznoszące ulepszenia i udoskonalenia, obok zdrowego położenia z natury, obok łatwych komunikacji i 4 bitych gościńców Rabkę przeryniających, któremu wreszcie zespolenie nauki, nakładu i pracy w osobie jego właściciela najpiękniejszą nadzieję na przyszłość rokuje.

Do nas tylko obecnie należy, uznać pierwszeństwo i wyższość Rabki nad zagraniczne Kreuznach lub Halle, do nas pokochać serdecznie co nasze, a co szlachetne i pożyteczne, aby nie tylko zakład tutejszy nie upadł brakiem współczucia i ogólnej opieki, ale aby ze stanu swej dzisiejszej skromności doszedł co rychlej do rozwoju i wykwintu, aby co rychlej dojrzał, spotęźniał i stał się zaszczytem, chlubą i pożytkiem dla kraju, a błogosławioną pomocą dla cierpiących.

Dr. M. Z.

KILKA UWAG O SERCU.

SKREŚLIŁ DR. SEWERYN ROBIŃSKI.

W jamie piersiowej znajduje się jeden z najpoważniejszych organów ciała naszego, tj. serce. To serce właśnie, które tak drga i szamoce się w smutku i radości, które tak głośnym częstokroć stukaniem zdradza swe istnienie, swą obecność i nawał uczuć piersi, w której ukryte.

Po wszystkie czasy, równie jak i dzisiaj, wykształcona nawet część ludzkości anatomii nie znała. Bez dokładnego, a po części jak to i dziś się dzieje, bez najmniejszego wyobrażenia o odbywających się czynnościach naszego ciała, najrozmaitsze stawiano teorie w kwestyach często tak zawiłych, że i my dziś przy całym postępie wiadomości wyznać musimy, że tego rozstrzygnąć nie jesteśmy jeszcze w stanie... a może... może... i nigdy!

Po wszystkie czasy ludzie widząc przy wzruszeniach mocniejsze, głośniejsze czasami odzywanie się, pukanie w piersi, wnosili, że tam jest siedziba ducha. Już w najdawniejszych czasach badając układ organów jamy piersiowej, szukano także tam odpowiedniego organu, odpowiedniej siedziby dla ducha. W owym miejscu, gdzie to

kołatanie i drganie przy wzruszeniach bolesnych albo radosnych czuć się daje, znajdowano serce. W sercu więc miała być siedziba ducha.

Zranienie pewnych organów, stosownie do ich ważności w organizmie, pociąga za sobą mniej lub więcej niebezpieczne skutki, a nawet śmierć. Kula armatnia urywa nogę albo rękę, życie może trwać bez nogi albo ręki. Przekonano się natomiast, że zranienia serca pociągają za sobą śmierć dość prędką i niechybną. Sądono nawet, że serce daleko delikatniejsze na zranienia, aniżeli jest w rzeczywistości. Czyż więc było co naturalniejszym, jak wystawić sobie ten tak delikatny, ważny organ jako siedzibę odpowiednią, godną tak znakomitego gościa, ducha naszego!

Gdy życie w nas zawrze, to i serce mocniej zakłóca... gdy spokój w duszy naszej, to i serce przycicha. Człowiek zasypia... ale to serce nie spi, kołata, ono zawsze czynne, we śnie i na jawie. Dopóki iskierka w nas życia, ono bije; i odwrotnie, dopóki to serce w nas drga

i bije, dopóty w nas życie. Gdy opadnie człowieka sen wieczny, to i serce drgać i bić przestaje... przestały w nim igrać burze szału i namiętności, nie zakłócać w nim ni boleść ni radość. Jakżeż więc ten tak ważny organ, tak wyraźnie i wyraźnie objawiające życie, nie było zrobić siedzibą tego życia, tego objawiającego się, niepojętego, zagadkowego ducha? Ale pamiętajmy, wszakżeż to duch radością, boleścią i smutkiem miotany wywołuje ruch większy serca, przyspieszone jego bicie, duch wywołuje te materialne życia objawy. Nie serce więc, albo poruszenia jego wywołują ducha, czyli raczej objawy tego ducha w człowieku, ale ta siła zagadkowa, ten duch wywołuje poruszenia serca; „sprężyna to nerwowa“, że tak powiemy, która przyspiesza lub zwalnia bieg serca.

Zdawałoby się, że to rzecz prosta, jasna i zrozumiała. Nie tak jasno sobie to zawsze przedstawiano, nie zawsze o tem pamiętano (a i dziś tak samo!); nic dziwnego przeto może, że jedno z drugim pomieszano i że objawy ducha za wpływ czynności, ruchów serca uważano. „Wszakżeż“, mówiono, „ruchy serca koniecznie potrzebne do wywołania objawów ducha, uczuć ludzkich. Gdy serce zaprzestanie swej czynności, gdy „serce zamilknie“, zamilkną i uczucia, a więc uczucia te powstają i wypływają ze serca, serce jest ich sprawcą, jak zwykle mówimy, serce boleje, albo się raduje“.

Tak to powstało ono pomieszanie wyobrażeń, uczuć naszych i serca samego, i dziś wyobrażenia nasze, sposób mówienia nie rozróżnia tego; mówimy: „serce go boli — serce mu pęka — serce zboleło, zakrwawione i t. d.“ Nie chcielibyśmy tu temu sposobowi mówienia wojny wypowiedzieć, byłby to zakaz daremny—od dawna wydano rozkaz: „stój słońce!“ i słońce stanęło, ale mimo to dla nas i dziś słońce „wschodzi“, „zachodzi“ i t. d.; uważaliśmy jednakże za potrzebne, kilka słów przynajmniej wypowiedzieć dla zwrócenia uwagi na to, dla poskromienia wyskoków wybujałej imaginacji i fantazyi.

Jakżeż dziwne, z pomieszania pojęć pochodzące, wydawać nam się muszą ubolewania owe, owe ironiczno-żałośnie wykrzykniki, że to serce nasze, to muszkuł tylko i t. d. Czytając zaś wyrazy*): „istotnie patrzyła nowożytna muza (umiejętność przyrodnicza) na świat całkiem trzęźwemi oczyma i nie wzdryga się z zimną krwią wydobywać na jaw i suchą analizą profanować wszystkiego, co dotąd tkliwe dusze za mistyczną zasłoną ciemnego przeczucia uważały za najwznioślejsze“ — czytając te i tym podobne wyrazy, powtarzamy, nie podobna nie zaprotestować przeciwko twierdzeniom, jakoby wiadomości przyrodnicze „profanowały“ to, co dotąd tkliwe dusze uważały za najwznioślejsze. Protestować należy przeciwko tak opaczniemu przedstawieniu i pojmowaniu rzeczy, w imię nauki samej. Nauka sama nie „profanuje“ niczego, tylko profanują ją

nieraz ci, co nie zrozumiałwszy sprawy, błędne i mylne wyciągają z niej wnioski.

Jeżeli ktoś miał niejasne jakieś pojęcia, czyż dlatego stracić musi urok dla sprawy, jeżeli ją pozna gruntowniej? Rozebrawszy n. p. anatomicznie i chemicznie listek, trawkę i t. d., nie tracą one dla nas i nauki swego uroku, ówszem nabywają innych. Tam gdzie dotąd nie widzieliśmy nic więcej tylko listek i poza nim żadnych nie mieliśmy, albo mgliste tylko niejasne wyobrażenia, otwiera nam się świat nowy przed naszymi oczyma, widzimy najdrobniejszą jego budowę, widzimy włókna i komórki, krążące w nich soki, życie przed oczami innych ukryte. Nauka tysiące podaje nam nowych myśli, tam gdzie inny nic nie widzi i przyczem nic nie myśli, ale nauka nie „profanuje“ jeżeli my tego sami nie czynimy.

Jeżeli staniemy przed wielką, kunsztowną maszyneryą, której zakryte są dla nas sprężyny, kółka, kółeczka i siły w bieg ją wprowadzające, nic albo nie wiele z tego zrozumiemy; ale biegły mechanik stanąwszy przed nią, odgaduje już, podziwia urządzenie. A czybyśmy mniej podziwiali wielkość pomysłu i sztuki, gdyby nam odsłonięto i wyjaśniono wszystkie tej maszyny tajniki?

Nie zniknie przeto dla myśliciela i badacza przyrody urok poezyi natury, nie zniknie urok poezyi serca, choćbyśmy je jak najdokładniej poznali, tylko niech nie będzie pomieszania pojęć i wyobrażeń.

Nie obawiajcie się więc poeci młodzi i piękne czytelniczki poznawać serca anatomii; nie zmieniają się uczucia wasze, nie zabraknie wam poezyi, chociaż poznacie tajniki tego „serca“, chociaż wiedzieć będziecie, z jaką siłą to „serce“ pracuje.

Gdy w dawnych wiekach poznano, że słońce stoi, a świat nasz się przewraca w przestrzeniach bez granic, zdawało się, że z nowością tą wszystko się także przewróci. Tymczasem widzimy, że wszystko tak jak było, tylko może do starości więcej się pochyliło. Nowości takie nowością swą czas niejakiś rażą, ale z czasem się zacierają, przyzwyczajamy się do nich. Nie zważajmy więc na te dzisiejsze bolesne, albo ironiczne wykrzykniki, i wiedzmy jak je osądzać, na czem ich błąd polega.

Chociaż w długim szeregu lat nieraz się serce zakrwawiło, zawiodło się... i dziś z bolu nieraz i żalości pęka... chociaż wiemy, co jest to serce, i choć znamy jego siłę, z jaką w nas pracuje... wierzymy w serce i wierzyć będziemy, i nie obawiamy się wcale, ażeby ktoś poznawszy to serce anatomii, przestał wierzyć w uczucia serca. Dlatego do widzenia, piękne i miłe czytelniczki i wy czytelnicy mili, może niezadługo będziemy mieli sposobność z wami obszerniej o sercu i jego tajnikach pomówić, więc do miłego widzenia.

*) „Strzecha“, rocznik III., zeszyt 6, str. 191.

K r o n i k a.

Do rzędu dzieł niezwyklej wartości potrzeba zaliczyć wydawaną obecnie w Paryżu nakładem księgarni luksemburskiej „Historią powstania polskiego w 1861—1864” przez Agatona Gillera. Imię autora i zalety jego pióra znane już oddawna literaturze polskiej, i stawia już dobry omen dla dzieła; ale więcej niż to jednak pociąga czytelnika ku dziełu sam przedmiot tak bliski, tak interesujący, tak splątany z własną przeszłością jego i dziejami jego marzeń.

Całe pokolenie żyjące dzisiaj odczuwa na sobie wulkaniczne wstrząśnienie 1863 r. Młodzież ówczesna, co szła na czele bohaterskich zastępów, dzisiaj dojrzała przedwcześnie, nie tyle pod brzemieniem lat, co pod nawałem wrażeń i prób bolesnych, nosi na sobie wszystkie pieczęcie tej chwili tragicznej. To co nie dorosło naówczas jeszcze do oreża, rwało się już i wtedy do broni i patrząc na bole narodu cierpiało z nim razem, tylko że młode siły silniejszy opór stawiały wrażeniom. Wszystko nareszcie to, co w kołyskach jeszcze spoczywało, nie przeczuwając krwawej walki ojców i braci, za pierwszym błyskiem pojętności w oczach dowiadywało się o strasznej katastrofie od matek i nauczyło się wspominać o rówieśnych sobie wypadkach z uczuciem pewnej grozy tajemniczej.

Najrozmaitsze sądy krzyżują się dotychczas o tych wypadkach. Jedni w nich widzą karę boską, akt zaślepienia, czyn gorączki młodzieńczej, cios zadany ojczyźnie ręką szalonych dzieci. Inni wielbią tylko czyn bohaterski, i przejęci czcią dla szlachetnych pobudek, nie śmia nad nimi stawiać chłodnej rozwagi, jako mistrzyni i kierowniczkę, i całe powstanie otaczają cudownym obłokiem patryotycznej legendy. Pomędzy temi dwiema ostatecznościami jest mnóstwo sądów, po większej części opartych na własnych wrażeniach, sądów subiektywnych, obejmujących tylko jedną stronę wielkiego wypadku, prawdziwych zatem w drobnych szczegółach, mylnych w całości. Nie było jeszcze czasu na wyrobienie się sądu historycznego.

Piszemy to, ażeby przedstawić, z jakimi trudnościami ma do walczenia człowiek, podejmujący się napisania historii tej niedawnej epoki. Jeżeli to jeszcze pisze człowiek, który nie był obcy wypadkom, który myślał, sercem i pracą należał do nich, trudności te wzmagają się bardziej. Łatwoby mu było napisać pamiętniki z owych czasów; niktby nie miał pretensyi do autora, że ten w dziele swoim przestrzega i pilnuje tych tylko poglądów, jakie nim kierowały w chwili czynu. Pamiętnik jest tylko wiernem zwierciadłem tego, co piszący czuł, myślał i robił. To co widział i słyszał, i co podaje w swoim pamiętniku, przyjmujemy tylko jako świadectwo jednego człowieka, który według tego, jak się nam daje poznać, zasługuje na większą lub mniejszą wiarę.

Inaczej z historią. Od historyka wymagamy zupełnej obiektywności sądu. Jest to sędzia, przed którym wytacza się proces historyczny, człowiek zatem, który dla żadnej strony uprzedzenia z góry mieć nie powinien. On powołuje strony, aby przemawiały każda za swoją sprawą; on słucha świadków i stawia sprzeczności naprzeciw siebie, ażeby się wzajem oba-

lając dały miejsce prawdzie. Gdzie pobudki niejasne, gdzie związek faktów niepewny, tam on zawiesza sąd swój i wyprowadza tylko przed oczy czytelnika świadectwa, aby jak owoce, dojrzewały na słońcu.

Szczytem obiektywności, do jakiej historyk podnieść się może, jest to ten szczebel usposobienia, dla którego wszystkie uczucia i pobudki ludzkie są zrozumiałe i sądzone bez pobłażenia, ale też i bez zacieklności. Odwieczne hasło *sine ira et studio* wypowiada tę obiektywność doskonale, tylko potrzeba zrozumieć to hasło. Gniew historyka powinien być obrócony nie do ludzi, ale do ich czynów, jeżeli te są złe i szkodliwe, największa zaś kara dla złego czynu, jest to spokojne i prawdziwe przedstawienie jego.

Widzimy więc, że zadanie, jakiego się podjął autor „Historii powstania polskiego w 1863” jest ogromnem; Miejmy nadzieję, że zadaniu temu odpowie najsumienniej, bo oto niezwykle dowód sumiennosci historycznej daje nam pan Giller w pierwszych dwóch tomach swojego dzieła, zapelniając je wyłącznie przytaczaniem różnorodnych świadectw, broszur i pamiętników o powstaniu, a także ich krytyką i rozbiorem. Są to rzeczy do czytania pobieżnego może niezbyt zajmujące, niezbędne jednak dla tych, którzy potrzebują rękojmii dla faktów.

Całe dzieło ma składać się z sześciu tomów. Pierwsze dwa tomy, jakieśmy powiedzieli, poświęcone są krytyce materiałów. Trzeci tom jest wstępem do historii powstania i obejmuje czasy od powstania listopadowego aż do pierwszych manifestacji 1861 r. Następny tom poświęcony jest całemu szeregowi manifestacji do zbrojnego powstania, nareszcie dwa ostatnie tomy mają objąć samą historią powstania.

Dotychczas wyszły trzy pierwsze tomy, a czwarty wkrótce ukaże się także w handlu księgarskim. Nie ma więc dotychczas właściwej historii powstania; jest to dopiero podstawa, na której gmach ma stanąć. Tom trzeci, którego mamy w tej chwili przed sobą, odznacza się ogromnem bogactwem materiału. Wszystkie strony życia narodowego, polityczna, moralna, społeczna, umysłowa i religijna traktowane są w całej ich pełni. Tam gdzie Mochnacki skończył, pan Giller zaczyna, i ten tom trzeci jest jakby dalszym ciągiem historii Mochnackiego. Nie porównujemy tutaj obu historyków, najprzód przez wzgląd na to, że dzieło pana Gillera nie jest jeszcze skończonem, powtóre, że ramy naszej kroniki nakazują nam poprzestać tylko na wiadomości o tem tak pożądanem i pożytecznem dziele.

Obok tego dzieła historycznego należy nam wspomnieć o pełnym zasługi wydawnictwie J. I. Kraszewskiego „Pamiętników i podróży po dawnej Polsce”, które już posiada kilka dzieł nader ciekawych i pouczających. Znamy dotychczas z tego „Podróże Schultza z 1793” i „Pamiętnik Schweinitza z XIV. wieku. Mielibyśmy może do zarzucenia wydawcy, że skraca według upodobania swojego niektóre ustępy pamiętnika; ale radzi jesteśmy i z tego niekompletnego wydania rzeczy, tak blisko dotyczących naszej przeszłości, a nieznanych dotąd zupełnie polskim czytelnikom.

J. T.

Z ŻE ŚWIATA.

(Zemsta matki). „Więźniu, właśnie słyszałeś twój wyrok. Czy masz co przeciw temu?“ — „Nie.“

Sędzia spojrział na więźnia bystrym, przesywającym wzrokiem, na który tenże odpowiedział zimno, z największą spokojnością; i tko by był w tej chwili porównał rysy obudwu, sędziego i zbrodniarza, byłoby go uderzyło nadzwyczajne ich podobieństwo, którego jednak nie zdołałby nikt wytłumaczyć. Twarz sędziego była napiętnowana surowością i niecierpliwością, na licu więźnia zaś przebiegały się nieczułość, srogość, zatwardziałość i upor; a przecież wyraz obydwu, ich spojrzenia miały w sobie tyle pokrewnego, że zgromadzenie mimowolnie spoglądało badawczym, porównującym wzrokiem to na jednego, to na drugiego.

Spokojnym i zimnym tonem ogłoszony został wyrok, zakreślający tylko na kilka godzin jeszcze żywot biednego grzesznika. Cisza panowała w sali, i każdy czuł przytłaczającą, ponurą uroczystość tej chwili; dwie tylko istoty pozostały niewzruszone — sługa prawa i jego ofiara.

„Biednemu chłopcu zbyt mało zostawiono czasu na skruchę i pokutę“ — myślał niejedyn. Ale duszy sędziego nie dręczyły wcale podobne myśli, gdyż wyraz przebaczenie tak w tem jak i w przyszłym życiu nie znajdował się w jego słowniku.

Sędzia Bellville siedział w swojej bibliotece. Myśl, że wkrótce miała nastąpić egzekucja i że to jego wyrok odbiera życie człowiekowi, mało go obchodziła. Był całkiem zatopiony w czytaniu ulubionego autora, gdy mu oznajmiono wizytę. Rozgniewany, że mu przerywają to wytechnienie umysłowe, myślał nad tem, jakby się pozbyć nie milej wizyty; ale gość podał jako powód przybycia swego „sprawę urzędową“; a ponieważ zasadą sędziego było, nie odmawiać nigdy posłuchania w takim razie, więc też i teraz wyszedł naprzeciw sędziwej, przyzwoicie ubranej damie, która czekała w jego gabinecie. Jej postać, chociaż nosiła na sobie już piętno podeszłego wieku, trzymała się zawsze jeszcze dość sztywno, a odmarkowane ostro rysy jej twarzy i tlejący jeszcze ogień jej czarnych oczu zdradzały niepohamowaną namiętność, zawziętość i mściwy temperament.

— „Czy nie raczyłabyś pani — rzekł sędzia wskazując jej krzesło i spoglądając żalonym wzrokiem na swoją książkę — objawić mi jak najkrócej powód swoich odwiedzin?“ — „Przychodzę tu — odrzekła nieznajoma — w interesie człowieka, którego okropny i haniebny los pan jeden tylko możesz odwrócić.“ — „Pani chcesz zapewne mówić o tym zbrodniarzu, który ma być jutro stracony; czy tak?“ — „Tak jest.“ — „Czy to syn pani?“ — „Nie.“ — „Więc jakież pani masz powód przemawiać za nim? Jego los spoczywa już w innym ręku.“ — „Ale jedno słowo z ust pana mogłoby go ocalić.“ — „Gdyby nawet tak było, jak pani powiadasz, to słowo to nie zostałoby wyrzeczonym, gdyż ten, za którym pani się wstawiasz, jest najdowodniej przekonany o rozmyślnie, okropne morderstwo.“ — „A przecież nie był on, jak powiadają, napaścą, lecz popełnił zabójstwo tylko w obronie własnego życia.“ — „Wszystko to, moja pani, przedstawił już bardzo wymownie obrońca; ale ja uważałem za obowiązek udowodnić próżność tej obrony.

Prawo nie może dozwalać na zabicie bezbronnego człowieka, chociażby nawet przyczyną tego zabójstwa była obraza, jeżeli ją wywołał tylko morderczy zamiar zbrodniarza. Cały proces jest najwyraźniejszym świadectwem zapamiętałej złości i przewrotności oskarżonego, i ja cieszę się bardzo, że trybunał sądowny to poznał i potwierdził moje zdanie.“ — „Ale Karolowi Bellville — i oko mówiącej zabłysło dziwnym ogniem — Karolowi Bellville nie mierzone nigdy tą samą miarką, jaką on dziś mierzy innym.“

Lekka chmura okazała się na marmurowem czole sędziego, ale tylko na chwilę, poczem ozwał się znowu swoim zwykłym, zimnym głosem: „Żałuję bardzo, ale nie rozumiem, co pani chcesz przez to powiedzieć.“ — „Przypatrz mi się dobrze panie Karolu Bellville: Czy zapomniałeś już Barbarę St. Clair? Wprawdzie wiele lat już upłynęło, jakieśmy się widzieli po raz ostatni, ale zdaje mi się, że nie trudno będzie odświeżyć twoją pamięć. Miałam niegdyś syna, pięknego, przystojnego młodzieńca, który odziedziczył łagodny charakter swojego zmarłego ojca, nie mój. Był on twoim przyjacielem, panie Bellville, kochał cię i podziwiał, i spoglądał na ciebie jak na wyższą istotę. Pewnego razu chciałeś rozerwać stosunek jego z dziewczcą, którą on kochał; ale napróżno, gdyż zostałeś ze wzgardą odprawiony. Wówczas poprzysiągłeś zemstę mojemu synowi a twemu przyjacielowi, i zastawiłeś nań sidła, w które też wpadła ta zacna dusza. Jako strażnikowi prawa nie trudno ci było wynaleźć sposób, ażeby zgubić mojego syna i uczynić go na zawsze nieszkodliwym. Tym sposobem więc stałeś się sam okrutniejszym i godniejszym pogardy mordercą, niżli ten, którego sądziłeś dzisiaj.“

Słowa te wymawiała z dzikim, pałającym wzrokiem, przesywając nim na wskrós sędziego, który stał przed nią osłupiały i jakby oczarowany, niezdolny przemówić ani słowa. Ale pierś jego poruszała się gwałtownie, a na twarzy, tak kamiennej zwykle, malowało się niewysłowione wzruszenie.

— „Na kolanach przeklinałam ciebie — mówiła dalej; — jak mocno gniotło cię to przekleństwo, wiadomo ci, ale jeszcze nie wiesz wszystkiego. Ożeniłeś się i zostałeś ojcem. Twój syn znikł, i nikt nie mógł ci wyjaśnić, gdzie się podział. Oplakiwałeś go jako umarłego. Strasznej boleści, która tłoczyła twoje dumne serce, nikt się nie domyślał, ale ja znałam ją i cieszyłam się nią. Dziś jednak przychodzę ci powiedzieć, że twój syn nie umarł.“

— „Nie umarł!“ — krzyknął wzruszony do głębi ojciec, którego ciężka, wewnętrzna walka po porwaniu jego dziecka pozostała w istocie tajemnicą dla świata. — „Nie umarł! O powiedz pani — wołał błagalnym głosem — powiedz, gdzie go znaleźć!“

Szyderyczy uśmiech był jedyną jej odpowiedzią.

— „Kobięto! — zawołał sędzia głosem, któryby skałę poruszył. — Przewiniłem ciężko względem ciebie. Nie śmiem prosić cię o przebaczenie, ale w zamian za okropne przekleństwo, jakie rzuciłaś na moją głowę, będę błagać Boga o największe błogosławieństwo dla ciebie, tylko powiedz mi, gdzie mogę znaleźć mojego syna!“

— „Idź do kaźni skazanego — odrzekła — tam leży on

na wilgotnej słomie, oczekując śmierci, na którą skazał go twój wyrok.“

Silny ów mąż zachwiał się zupełnie złamany i zakrył twarz obiema rękami.

— „Ja ukradłam niegdyś twój syna — mówiła dalej. — Nie mogłam tego uczynić, dopokąd żyła jego matka, gdyż ona nigdy mnie nie obraziła. Ale po jej śmierci, gdy musiałeś sam jeden znieść wszelkie cierpienie, nie wstrzymały mnie już żadne względy. Daleko ztąd wychowywałam syna twego starannie i z czułością, bo nienawiść moja nie rozciągała się przeciw na niewinne dziecko. Im starszym stawał się jednak, tem bardziej rozwijał się w nim szkaradny charakter ojca. I nie dziwnego przeto, że go dzika i niepokohamowana namiętność wiodła stopniowo aż do wyroku, który teraz dreszczem cię przejmuje, chociaż byłeś spokojny, gdyś go ogłaszał.“

— „Piekło! — krzyknął Bellville. — To okropna bajka, zmyślona tylko na moje udręczenie. Ja nie wierzę bez dowodów.“

— „Ha, ja wiem, tyś mądry i najprzebieglejszy ze wszystkich sędziów na świecie! Wszak to twoje powołanie żądać dowodów. Ale może przekona cię ten medalion, który zawiera wizerunek twej małżonki, a który twój syn nosił na szyi; a może nie przypominasz go już sobie?“

— „Na miłość Boga! — krzyknął sędzia zrywając się — dlaczego odkrywasz mi tę okropną tajemnicę dopiero teraz, kiedy może za późno już działać?“

— „Ponieważ czekałam na to, ażeby istotnie mogło już być za późno — odpowiedziała kobieta — ale w ostatniej chwili nie dało mi spokoju serce, gdyż ja wychowałam to dziecko, i parło mię coś i ciągnęło tu, ażeby ci to oznajmić.“

Sędzia nie słyszał już ostatnich jej słów, wypadając z gabinetu. Siedziba gubernatora była o kilka mil oddalona, a telegraf nie był wówczas jeszcze wynaleziony. Ale nie było ani chwili do stracenia, i złamany ojciec wybrał się natychmiast w drogę. Najszybsze jednak konie nie mogły dotrzymać kroku jego trwodze i niecierpliwości. Pożno w nocy dostał się do pomieszkania gubernatora, i ten pozwolił niezwłocznie, nie pytając się wcale o powód, na odłożenie egzekucyi, ponieważ Bellville był osobistością znakomitą i posiadającą wielkie wpływy w kraju. Ale zachowanie urzędowych form zabrało całą godzinę drogiego czasu. Wreszcie został podpisany szacowny dokument, i sędzia pospieszył świeżymi końmi z powrotem. Na wschodzie rumienił się już świt, i słońce wznosiło się coraz wyżej.

— Prędzej, na miłość Boga jedź prędzej! — wołał strwożony ojciec na woźnicę — jeżeli nie mamy przybyć za późno. — A gdy straszliwa godzina coraz bardziej się zbliżała, nie miał już nawet odwagi patrzeć na zegarek. Nareszcie ukazało się zdala więzienie, na którego dziedzińcu, obwiedzionym wysokim murem, miał się odbyć okropny dramat. Nieprzejrzany tłum ludu otaczał je.

— Prędzej, o prędzej! — wołał prawie bezprzytomny już sędzia — każda chwila przynosi teraz życie lub śmierć!

Ale cóż znaczy to poruszenie? Tłum rozdzielił się w prawo i w lewo, robiąc ulicę środkiem. Czterech ludzi przechodzi nią, niosąc trumnę z prostego drzewa. Sędzia wiedział

już wszystko. Bezwładny opadł na siedzenie i zaniesiono go zaraz do łóżka. Przez kilka dni leżał bez przytomności, a potem został powołany przed sędziego, który na dniu ostatecznym sądzić będzie wszystkich ludzi, żywych i umarłych. Jakaż okropna była to zemsta!

(Powiastka z głębi morza). Pieniądze leżą na ulicy, mówi przysłowie nowoczesne. Ale one leżą także gdzieś indziej, zakopane w czasie wojen ludowych w łonie ziemi, albo po piwnicach klasztorów i zamków, albo zatopione w głębi morza; i ktoby posiadał kwiat paproci, ażeby znaleźć i otworzyć grób Mamony, mógłby się stać niezawodnie bogatszym od Krezusa.

Wyglądało to istotnie na bajkę, gdy przed kilkoma laty zaczęto mówić znowu o niezmiernych skarbach, które miały zatonać w r. 1702 w zatoce Vigo i spoczywają od tego czasu na dnie morza. Myślano o wydobyciu tych skarbów, ale potem ucichło znów wszystko. W najnowszym czasie jednak podjęto nanowo tę myśl i za pomocą nowych przyrządów nurkowych znaleziono — wprawdzie nie skarb — ale jego trumnę i wydobyto częściowo na wierzch.

Kto nie zna bliżej całej tej historii, niech raczej posłuchać: Na początku zeszłego wieku, a więc przed 168 laty, gdy Francya i Hiszpania, sprzymierzone przeciw Anglikom Holendrom i Austryakom, zupełnie wyczerpane na siłach oczekiwały kilku statków z Indyi, obladowanych miliardem i ośmiuset milionami realów w złocie i srebrze, tudzież bogatymi towarami i klejnotami, wypłynął francuzki admirał Chateau-Regnault z Brestu, ażeby eksortować tę szacowną flotylę złożoną z 15 okrętów i prowadzoną przez hiszpańskiego admirała hr. Velasco. Obawiano się bowiem nie bez powodu, że flota angielsko-holenderska może napaść i zabrać ten drogi transport.

Francuzki admirał spotkał flotylę przy wyspach kanaaryjskich, gdy chciała się puścić w kierunku Kadyksu, i radził hrabiemu Velasco, udać się do jakiego portu francuzkiego, ponieważ nieprzyjaciel strzegł mocno wybrzeża kantabryjskiego.

Jakoż istotnie dostrzegli Anglicy i Holendrzy flotylę hiszpańską już na wysokości przylądka św. Wincentego i wysłali najlepsze swoje statki na połów. Francuzi i Hiszpanie trzymali się wybrzeża portugalskiego, schronili się 22. października 1702, ścigani natarczywie, do zatoki Vigo i zabarykadowali przystęp do niej.

Podczas gdy z obu stron gotowano się do walki, usiłował Velasco sprowadzić na ląd swój kosztowny ładunek. Ale nieprzyjaciel rzucił natychmiast silny oddział na wybrzeże, któremu udało się opanować transport czterech milionów realów, i przeszkodzić wyniesieniu reszty na ląd.

Admirał angielski, zdecydowany za jakąkolwiek cenę odebrać ten skarb ogromny, dał też niezwłocznie hasło do ataku i rzucił się ze swoimi okrętami na żelazny łańcuch zamykający zatokę Vigo. Łańcuch został zerwany, i walka z okrętami francuskimi rozpoczęła się. Admirałowi Chateau-Regnault udało się wprawdzie zapalić angielski okręt „Monmouth“, na którym znajdował się komodor Hopson, ale w końcu musiał sam schronić się na hiszpański statek „Almirante“, na którym znajdował się Velasco. Wówczas przewidując swoją klęskę, uradzili oby-

dwaj zatopić w morzu wszystkie statki naładowane złotem i srebrem, ażeby nie dostały się w ręce Anglików.

Jakoż stało się to istotnie, i owe kosztowne statki leżą dotąd od 168 lat na dnie morza; aż wreszcie teraz powiodło się inżynierowi francuskiemu, imieniem Bazin, za pomocą nowo-wynalezionych przyrządów nurkowych rozwiązać próbowane już kilkakrotnie napróżno zadanie, tj. znaleźć tułowy zatopionych statków na dnie morza i wydobyć przynajmniej odłamki ich, które są wystawione teraz w muzeum w Paryżu.

Niemale zdobycze poczyniła przy tej sposobności umiejętność, gdyż poznano bliżej pracę muszel świdrujących na leżącym od półtora wieku w wodzie drzewie okrętowym i przyborach statków, tudzież wpływ wody, mułu i roślin morskich na te przedmioty, przekonano się o szczególnej trwałości pewnych rzeczy itp.

Jeszcze ciekawszem jest opisanie pracy samych nurków, którzy spuszczeni w morze w wielkich cylindrach, korespondują za pomocą nich z powierzchnią światem i przyświecają sobie na dnie morza światłem elektrycznym. Podług opowiadania Bazina są jego nurkowie, którym często towarzyszy sam na dół, odważni ludzie, uzbrojeni szerokim nożem, ażeby bronić się od napaści poczwar morskich, które zwabione blaskiem światła zgromadzają się ciekawe dokoła nurków i zagrażają ich życiu swoimi paszczami.

Nie będziemy zapuszczać się w szczegółowe opisywanie całej tej pracy i przyrządów nurkowych, gdyż to zajęłoby za wiele miejsca; dość powiedzieć, że pan Bazin pozostawił dalszą robotę swoim ludziom, którzy pracują niezmordowanie nad wyszukaniem skarbów. Dotąd nie znaleziono z nich nic jeszcze, i może nie istnieją one już wcale. Na wszelki wypadek jednak jest wynalazek Bazina nierównie ważniejszym i skuteczniejszym, niż tak zwane „wielbłądy“ pana Bauera, o których w swoim czasie tyle krzyżano.

(Trzy szacowne tiary.) Pewien dziennik katolicki donosi: Trzy tiary, które niesiono przed Papieżem podczas procesji na Boże Ciało, są: 1) tiara podarowana przez Napoleona I. Piusowi VII., wartości 334,922 franków; 2) tiara ofiarowana przez królową hiszpańską Piusowi IX., wartości 135,000 franków, i 3) tiara ofiarowana Papieżowi teraźniejszemu przez gwardyę palatynską, wartości 21,000 franków.

(Rzadki ptak) zastrzelony został w zeszłym miesiącu w pobliżu Bellye w Slawonii. Jestto orzeł największego rodzaju, który miał na szyi stalową obrączkę, z wrytym na niej rokiem 1646 i zatartym do połowy herbem. Sędziwy ten starzec przeżył więc немало, zanim go dosięgła śmierć z lufy strzelca. Ptaka tego kupił pewien mieszczanin w Osieku, ażeby go ofiarować do muzeum w Zagrabiu.

(Także wielki człowiek.) W Paryżu umarł przed kilkoma tygodniami mąż, który chociaż nie był uczonym, wynalazcą, politykiem ani też filozofem, stał się przecież sławną osobistością, znaną nawet za granicami Francji.

Mąż ten był tylko rzeźnikiem, i pozostawił po sobie — jeżeli wieść nie kłamie — ośm milionów, przeżywszy zaledwie 58 lat. Był to pan Duval, ów sławny Duval, który zakładał kuchnie bulionowe, to jest najtańsze restauracje w całym Paryżu, i zarabiał na nich ogromne sumy. Z początku prosty chłopak

rzeźnicki, potrafił przecież zrobić — jak to mówią — karyerę. W służbie u niego było do 2.000 młodych kobiet, które ubrane wszystkie jednakowo, w białych czepeczkach i z białymi fartuszkami, obsługiwały jego licznych gościom. Wszystko szło u niego jak na sznurku; nad każdym zakładem czuwał dyrektor, i co wieczora szły wszystkie rachunki do bióra centralnego, gdzie je kontrolowano.

Ostatniemi już czasy odstąpił Duval swoje zakłady towarzystwu; ale sam pozostał na czele, i nawet w ciągu długiej słabości, której uległ, nie ustąpił ze swego stanowiska. Jego kuchnie bulionowe dostarczały rocznie do 4,000.000 obiadów, a dochód ich wynosił rocznie przeszło ośm milionów franków.

Ten sam Duval też urządzał zwyczajnie maskarady z wołem zapustnym. Ostatnia, której przewodniczył w roku 1868, kosztowała go 75.000 franków. Z początku — jak opowiada biograf pana Duwala — miało mu iść bardzo źle; ale nie dał się odstraszyć, zaczynał ciągle na nowo, i tym sposobem zebrał miliony.

(Katechizm niewieści). Jak słyhać, ma wyjść wkrótce w języku francuskim „Katechizm praw niewieści“, w którym znajdują się między innymi następujące nauki:

Pytanie: Czy nie okazuje nam historia wszystkich czasów, że kobieta była poniewieraną jak najpodlejsza niewolnica?

Odpowiedź: Tak jest.

Pytanie: Na czym zasadza się jej niewola?

Odpowiedź: 1) Mąż jest panem żony. Kobieta jest tylko ozdobą dla niego. 2) Kobieta musi się zajmować tylko swoimi dziećmi. 3) Kobieta jest na to tylko, ażeby utrzymywać porządek w domu, i dla miłości świętego spokoju musi pozostawiać mężczyźnie stanowienie ustaw, którym ulega potem.

Pytanie: Które kobiety wymienia nam historia jako ofiary tyraństwa mężczyzn?

Odpowiedź: Ewę, orientalkę czystej krwi; Sarę, żonę niejakiego Abrahama; Rutę, babkę Dawida; Maryę i Martę, siostry Łazarza; matkę Washingtona; cesarżową francuzką i wiele innych.

Biedne te kobiety!

(Dochody królików niemieckich). Nie ma zaprawdę na świecie istot szczęśliwszych nad królików i książątka związku niemieckiego. Dość będzie poznać tylko cyfry ich dochodów. Tak np. wynosi roczny dochód Księcia Wajmarskiego 280.000 talarów. Książę Meiningen pobiera rocznie 225.000 talarów; Książę Schwarzburg-Rudolstadt, którego państwo zamierza ogłosić bankructwo, ma rocznie 160.000 guldenów, nie licząc dochodu z jego zamków; Książę Reiss-Gera pobiera rocznie 370.138 talarów, Książę Sondershausen 150.000 talarów, Książę Altenburgski 158.000 talarów. A jakież to wygodne i słodkie życie połączone z tymi dochodami. Korona nie gniece ich; naczelnik związku broni ich posiadłości, ciężary wojskowe i wydatki na związek musi kraj ponosić. Każdy z nich ma swoich szambelanów, generałów i adjutantów, swój dwór, swoje teatra nadworne, swoją kapitułę orderów. Gdy przejeżdżają przez swoje państwo, zdejmują wszystko z największą pokorą czapki przed nimi; żaden malkontent nie nastaje na ich życie, ponieważ zanadto jest liche; kładą więc

z najspokojniejszym sercem z wieczora głowy swe na miękkie poduszki, i rządzą nazajutrz, jeżeli im opatrność przebudzić się pozwoli, tak samo dalej, jak rządzili wczoraj. I czyż może być kto szczęśliwszym na świecie!

(Poświęcenie drugiego króla Siamu). W królestwie siamskiem rządzi jak wiadomo dwóch władców, Król naczelny i Wangna czyli drugi król, i ta instytucja nie naraziła dotąd państwa Siamskiego na żadne zaburzenia. Gdy naczelnym królem był zmarły przed dwoma laty filozof Mong-ku, piastował jeden z jego braci urząd przybocznego króla; a gdy tenże umarł w jesieni roku 1868, odbyła się 25. listopada tegoż roku inauguracja nowego Wangny. Uroczystość takiego poświęcenia króla odbywa się w szczególniejszy sposób, a różni się ona mało od koronacji (jeżeli można użyć tego wyrazu) króla naczelnego.

Najpierw udał się Wangna do kąpieli, przyczeni byli obecni konsulowie i kilku Europejczyków, biorących udział w wielkim pochodzie, złożonym z książąt i szlachty, którzy wyprowadzali Wangnę z pałacu naczelnego króla. Sam król naczelny wyruszył dopiero w godzinę później, a gdy się ukazał rozpoczęła się uroczystość. Wanna, w której kąpał się Wangna, była ze złota i stała pod wielkim baldachinem o siedmiu oddziałach jeden nad drugim. (Jestto tak zwany Sawetraxat, święty symbol godności królewskiej). Naczelnym królem wylał na Wangnę, ubranego całkiem białą, pierwszy strumień wody; potem kąpał się Wangna sam, a w końcu przystąpiła jego matka i lała mu wodę na głowę. Po wyjściu z wanny podano mu tak zwany Panang (sukno do obcierania); i wtedy zrzucił on mokre suknie, ażeby przywdziać suchy ubiór. Wszystko to odbywało się wobec zgromadzonego dworu z tak wielką przyzwoitością, że skromność nie została w niczem naruszona.

Gdy Wangna siedział w kąpieli, odywała się z przybocznej sali wrzaskliwa muzyka; bito w talerze i bębny, huczano na wielkich muszlach morskich, i rozmaite inne instrumenta muzyczne były w ruchu. Po kąpieli oddał się Wangna do przybocznego pokoju dla przywdziania szat królewskich, a gdy ztamtąd powrócił, podał mu naczelnym królem miecz i berło. Potem czytał poważny pisarz dokument lenniczy i ogłosił imię, który Wangna miał odtąd nosić. Na tem skończyła się główna uroczystość, i wszyscy udali się znowu do pałacu, gdzie tymczasem przygotowano świetną ucztę.

(Biedny milioner). Pani Vigée Lebrun opowiada następujący epizod z życia finansisty Beaujon. Jakiś obcy gość chciał go odwiedzić w jego wili. Przechodząc przez wspaniały park zachwycił się jego pięknnością. — „Tu musi być rozkoszną przechadzka“ — mówił do służącego, który go prowadził. — „Mój pan nie używa przechadzki, gdyż jest sparaliżowany“ — odrzekł tenże. Weszli do domu. Gość podziwiał przepyszne malowidła. „Te są pewnie chluba i pociecha właściciela.“ — „Mój pan nie widzi ich, gdyż jest ślepy.“ — „Ha — rzekł obcy — to przynajmniej może pieścić swoje ucho prześliczną harmonią muzyki, którą właśnie słyszę.“ — „I to nie, gdyż mój pan jest głuchy.“ — Wkrótce potem siedział gość przy stole, na którym zastawione było wyborne śniadanie. Racząc się tedy niem wychwalał smaczne potrawy i delikatne wina, które pan domu może codziennie pieścić swoje pod-

niebienie. — „Mój pan żyje tylko chlebem i mlekiem“ — odpowiedział ze smutkiem służący.

„A, w takim razie nie zazdroścę mu jego milionów“ — rzekł sam do siebie gość i odszedł rozmyślając o marnościach tego świata.

(O nadzwyczajnej pamięci muzykalnej Rossiniego) świadczy następująca anegdota z jego młodocianego wieku. Wielki ten maestro był od młodości gorącym wielbicielem płci pięknej. Gdy miał lat trzynaście, pragnęła pewna dama, która zajmowała się wielce tym jeniałym chłopcem, otrzymać jakąś aryę z najulubieńszej wówczas opery Mombellego. Usłużny chłopak udał się do kopisty i prosił go o odpiśnięcie tej ary, ale mu odmówiono. Potem prosił o to samego Mombellego, ale i ten odprawił go z niczem. — „To panu nie pomoże — rzekł Rossini; — ja pójdę dziś wieczór jeszcze raz na tę operę, będę słuchał uważnie, a potem napiszę wszystko, co mi się podoba.“ — „Zobaczmy“ — odparł Mombelli. Chłopak poszedł na operę, słuchał z całą uwagą, a potem napisał cały wyciąg na fortepian i przyniósł do Mombellego. Ten nie chciał temu wierzyć, posądzał kopistę o zdradę i zżymał się wielce. — „Jeżeli pan mi nie wierzysz — rzekł Rossini — to pójdę jeszcze kilka razy na tę operę i napiszę potem całą partyturę, ale w obecności pana.“ Jakoż przekonał się wkrótce Mombelli sam o bajecznej pamięci Rossiniego, i od tej chwili datowała się ściślejsza znajomość tych dwóch kompozytorów.

(Imieniny Świętych). Kto w styczniu odwiedza stolicę świata katolickiego, może przypatrzeć się tam osobliwym uroczystościom. Dnia 15. tego miesiąca przypadają imieniny św. Maura. San Mauro zaś jest opiekunem i patronem podagrystów, paralityków itp., i w tym też dniu uroczystym składają mu cześć wszyscy dotknięci tego rodzaju chorobą. W trzech kościołach przechowane są relikwie św. Maura, i w dniu imienin tego świętego bywają one wystawiane z uroczystością dla zbudowania prawowiernych. I schodzą się też oni o kulach i laskach ze wszystkich części miasta, ażeby oglądać relikwie święte i prosić o wyleczenie swego patrona. Szczególny też zaprawdę widok przedstawia w dniu tym taki kościół; patrzącemu zdaje się, że go przeniesiono nagle do jakiegoś zakładu zdrojowego, bo nawet organy grają jakiś finał opery Belliniego, niby kapela zdrojowa. Jeszcze ciekawszą jest 7. t. m. uroczystość św. Antoniego pustelnika, który jest patronem koni, osłów, mułów itp. Kościół św. Antoniego bywa na ten dzień świetnie przystrojony, i we wszystkich kaplicach odprawia się naraz msza święta. Przed ten kościół sprowadzają tedy wszystkie konie i osły Rzymu, gdzie ksiądz każdego po krótkiej modlitwie błogosławi i trzykrotnie święconą wodą pokrapia. Ktoby nie dał każdego roku tak pobłogosławić swojego bydła, tegoby pewnie nawiedziła zaraza; a ponieważ to bardzo mało kosztuje, więc każdy spieszy korzystać z tej sposobności. Papież posyła swego białego muła i swoją uprzęż; konnica i artylerja występuje ze swoimi końmi; szlachta wyprawia swoje najlepsze konie, a nawet dorożkarze prowadzą swoje chabety do St. Antonio na poświęcenie. Wszystkie zaś zwierzęta te są przystrojone w kwiaty i wstążki, jak gdyby miały brać udział w jakim festynie ludowym.

(Olbryzi hotel). W nowym Yorku budują teraz hotel, który będzie mieć 10 pięter, a którego wysokość wynosić będzie 130 stóp. Cały budynek kosztować będzie półtora miliona dolarów, a umeblowanie jego półmiliona. Posadzka izb, sal i sieni zajmują przestrzeń 350.000 stóp kwadratowych. Cały gmach będzie liczyć 700 pokoi, w których może mieszkać 2000 gości. Znajduje się w nim 1500 okien, 200 drzwi, 300 kryjówek od potrzeby, 4 sale jadalne, 5 schodów, 2 windy (w następstwie schodów), 6 pokojów towarzyskich (parlors) 50 podsieni. Płytkami marmurowymi, które będą użyte, możnaby pokryć cały morg ziemi (4840 stóp kwadratowych). Hotel ten będzie nosić nazwę: „Grand Central Hotel.“

(Kolej żelazna pod kanałem La Manche). Towarzystwo angielskie (Brittich Association) obradowało na jednym z ostatnich posiedzeń swoich w Exeter znowu nad sposobem omoszczenia cieśniny Kaletańskiej. Przy tej sposobności przedłożył inżynier Batteman wypracowany wspólnie z panem Remy plan, który zasadza się na tem, ażeby na dnie morza położyć rurę z kutego żelaza, przez którą przechodziłaby kolej żelazna. Budowa ta ma być wykonana za pomocą horyzontalnego dzwonu, w którego wnętrzu składanoby pojedyncze części rury, posuwając go coraz dalej z postępem roboty. Jako punkta do lądowania wybrano na wybrzeżu francuskim przylądek Grisney, na angielskim zaś miejsce w pobliżu Dowru. Odległość między obydwojma punktami wynosi 22 mil z przeciętną głębokością 110 stóp. Koszta budowy są obliczone na 8 milionów funtów szterlingów. Jazda trwałaby przy małej szybkości jedną godzinę 5 minut, pospieszna zaś tylko 45 minut. Codziennie możnaby przeprowadzać tą rurą 5000 podróżnych i 10000 beczek ładunku. Do wykonania tego planu potrzebaby pięciu lat.

(Dramat miłosny). Okropny dramat odegrał się niedawno w Lizbonie. Viera de Castaro, deputowany, tudzież znakomity mowca i pisarz, udusił swą dziewiętnastoletnią żonę. W dniu, w którym popełnił zbrodnię, zszedł on swą żonę zajętą pisaniem listu, który usiłowała ukryć przed małżonkiem. Mąż zażądał wydania listu, a gdy się ta wzbraniała, wydarł jęj gwałtem złowrogie pismo; adres wskazywał jednego z najserdeczniejszych jego przyjaciół Mariana Garreta, bratanka najznakomitszego portugalskiego poety Jana Garreta. W liście tym pani Castaro prosiła Garreta, aby zechciał towarzyszyć jęj do teatru. Na lzy i zapewnienia małżonki, że stosunek z młodym człowiekiem jest li czysto przyjaźnym, przebaczył jęj Castaro, i obiecał wszystko puścić w niepamięć. Teraz dopiero pani Castaro tknięta do żywego szlachetnem obejściem się męża i dręczona wyrzutami sumienia, wyznała mu całą prawdę, nadmienając, iż łączy ją z Garretem nie stosunek oparty na czystej przyjaźni, lecz zbrodniczy, wiarolomny. Mąż na to wybiegł szybko z pokoju i powrócił za chwilę z faszeczką chloroformu. Kopnięciem nogi odepchnął od siebie wiarolomną, która w przecuciu czegoś strasznego, rzuciła mu się do kolan, błagając o przebaczenie. „Musisz umrzeć“, zawołał i podał jej zabójczy napój. Nieszczęśliwa poczęła się bronić, a gdy usiłowała zawołać o pomoc, mąż przyskoczył do niej, rzucił na ziemię i jednym uściskiem zadusił. Noc całą czuwał nad ciałem zamordowanej, a gdy dzień

poczęło, wybiegł z domu i dwóm z swych przyjaciół odkrył całe zdarzenie. Prosił ich, aby udali się do Garreta i zawieźli mu wyzwanie na śmierć lub życie, a to bez zwłoki natychmiast. Garreta odmówił; oświadczył on, że nigdy nie przyjmie pojedynku z człowiekiem, którego tak dotknął okropnie. Zarazem wręczył wysłannikom list do Castara, gdzie mu oznajmił, iż jeszcze tego samego wieczora wyjeżdża do Madrytu. Castaro zaniechał zemsty, o której myślał przez chwilę, i sam dobrowolnie oddał się w ręce sprawiedliwości. Castaro zaledwie liczy lat 30. Garreta miał udać się do Francyi, aby tutaj wstąpić do klasztoru Trapistów.

(Rachunek za głosowanie). W Watesford (Anglia) podczać ostatnich wyborów do parlamentu było 2 kandydatów: Sir Kickham i Sir Herring. Obaj zapłacili sowicie swoim agitatorom. Jeden z zwolenników Sir Herringa wręczył swemu patronowi po ukończeniu walki wyborczej następujące konto: Za trzykrotne „niech żyje Herring“ 1 szyling. Za dwugodzinne hałasowanie podczas mowy Sir Kickhama 1 szyling. Za dwa kulaki dane jednemu z zwolenników Kickhama, które następnie z ogromną lichwą przez wszystkich Kickhamistów oddane mi zostały 3 szyl. 9 penców. Za ucierpiane pobicie ze strony kobiet 1 szyl. 6 penców.

HUMORESKA.



— Cóż panie Orle, czy pan długo jeszcze chcesz być kawalerem?
— W tej chwili ślubowałbym kawalerstwo na zawsze.